



MARZEC

1938

miesięcznik polityczny
Liberalno - Demokratycznej Partii
„Niepodległość”

Nr. 51.

WARSZAWA

cena 90Zł

PRELIMINARIA TRAKTATU RIBBENTROP-MOŁOTOW
GRANICE TOLERANCJI
POCHWAŁA NIETOLERANCJI
MIT TOLERANCJI
O "SHOAH" SINE IRA ET STUDIO
"SHOAH" W MOICH OCZACH
MŁOT NA ŻYDÓW

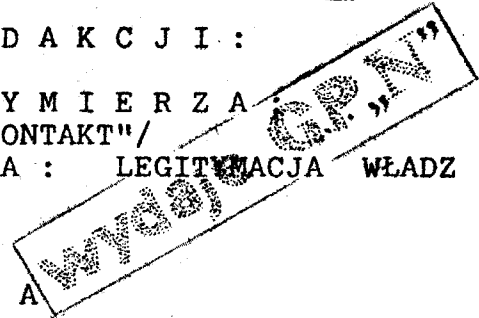
POCZTA DO I OD REDAKCJI:
...MOGŁO BYĆ GORZEJ...

W POSZUKIWANIU PRZYMIERZA
CZESI NIE WIDZĄ WYJŚCIA /"KONTAKT"/

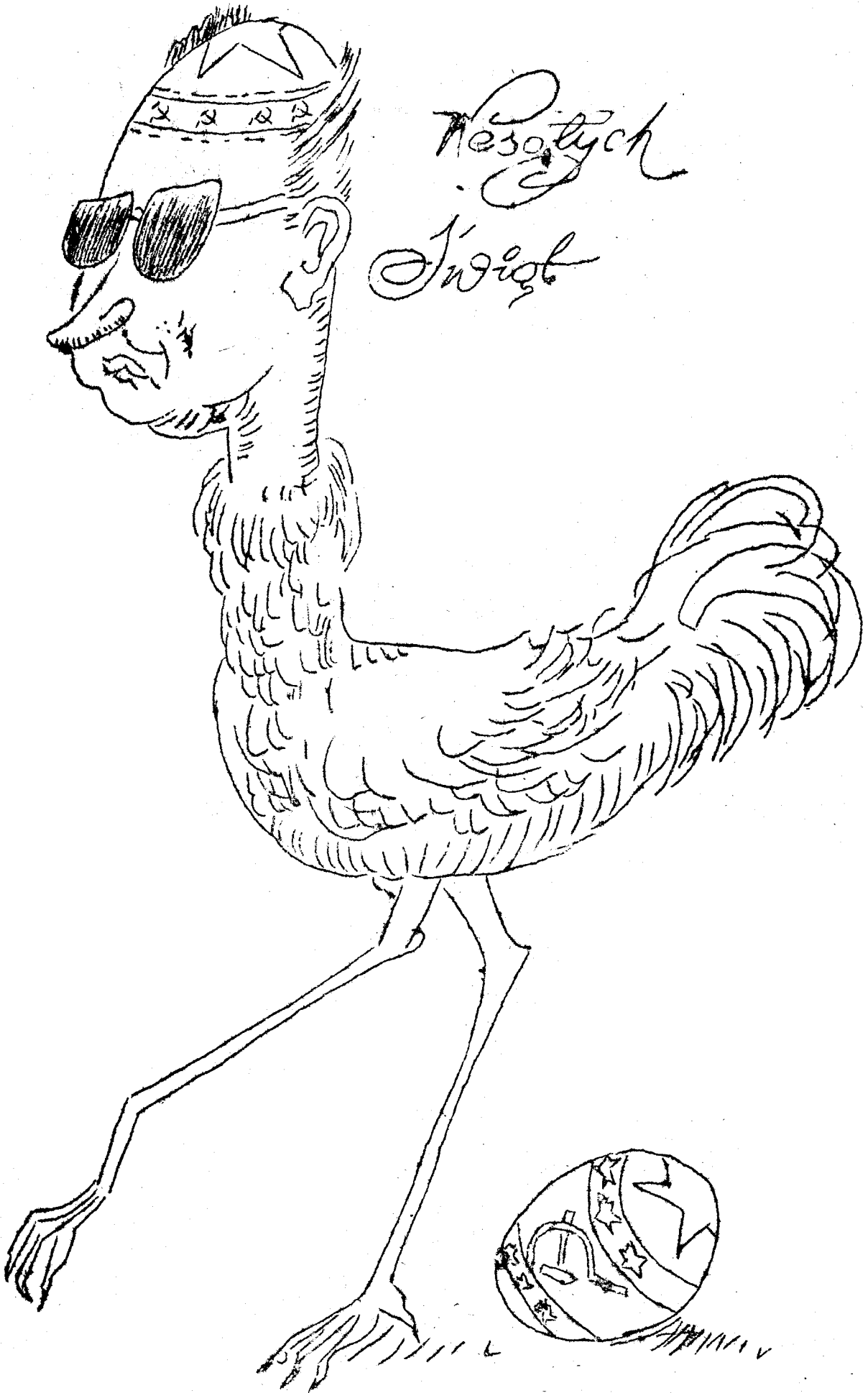
FELIETON OBSERWATORA: LEGITYMACJA WŁADZ
NIEZNANI /?/ SPRAWCY

KOMUNIKATY:

LAURKA DLA KISIELA



Кезыч
Турок



PRELIMINARIA TRAKTATU RIBBENTROP-MOŁOTOW

65 lat temu, 18 marca 1921 roku, w neutralnej Rydze, stolicy niepodległej Łotwy, przedstawiciele Polski i Sowieckiej Rosji podpisali traktat pokojowy między Polską, Rosją i Ukrainą, kończący trwającą praktycznie dwa lata wojnę polsko-bolszewicką. Traktat ryski oprócz oczywistego znaczenia międzynarodowego miał także swoje reperkusje w polskich stosunkach wewnętrznych. Praktycznie rozstrzygał bowiem spór między zwolennikami programu federacyjnego a inkorporacyjnego w stosunku do byłych polskich ziem wschodnich na korzyść tych ostatnich.

Oficjalne rokowania polsko-sowieckie, które doprowadziły do traktatu, rozpoczęły się w najgorszym dla Polski okresie. 22 lipca 1920 roku, "zachęcony" przez Brytyjczyków rząd polski zwrócił się do Rosji z propozycją bezpośrednich rokowań. Bolszewicy propozycję przyjęli i rokowania rozpoczęły się w zajęтым przez Sowiety Mińsku 17 sierpnia. "Ow 17 sierpnia, dzień rosyjskiej klęski militarnej stał się równocześnie w Mińsku, dniem politycznego zwycięstwa rosyjskiego" - napisał w swoich "Dziejach Polski" /INSTYTUT LITERACKI, Paryż, 1973, str. 82/ Adam Krzyżanowski. To polityczne zwycięstwo sowieckie to pośrednie uznanie przez delegację polską pełnomocnictw delegacji ukraińskiej, równoznaczne z cofnięciem uznania Ukrainie Semena Petlury. Nie była to żadna cnota z konieczności - Bolszewicy nie stali już pod Warszawą; nie była to jednak głupota, nieświadomość lub niefachowość polskich negocjatorów. Po prostu zrealizowano główny punkt polityki endeckiej przeciwnej niepodległości Ukrainy. Oczywiście wszyscy zainteresowani doskonale zdawali sobie sprawę z kompletnej fikcji jakiegokolwiek samodzielności sowieckiej Ukrainy. W drugim dniu rokowań - 19 sierpnia - delegacja sowiecka starała się zdyskontować swój sukces przedstawiając konkretne propozycje pokojowe; pardon, propozycje bezwarunkowej kapitulacji /1/. Szczęśliwie, wódz naczelny, żołnierz polski i sztab - jak zachowałyby się delegacja pokojowa, trudno zgadnąć - zdecydowanie odrzucili sowieckie propozycje. Odrzucili je razem z bolszewickim wojskiem w Bitwie Warszawskiej, a kompletnie porzucili w zakończonej zupełną klęską sowiecką, wrześniowej Bitwie nad Niemnem. "12 października 1920 roku - pisze, oceniając skutki bitwy, Paweł Zaremba w "Historii Dwudziestolecia /1918-1939/" /wydawnictwo "PRZYSZŁOŚĆ", Warszawa 1983, T.I. str.221/ - Rosja bolszewicka nie była w sensie operacyjno-wojskowym zdolna do żadnego oporu".

W tej sytuacji rokowania przeniesiono do Rygi. Osiemdziesięcioosobową stronę polską reprezentowali: przewodniczący - poseł z PSL "Piast" i wiceminister Spraw Zagranicznych Jan Dąbski oraz negocjatorzy - posłowie sejmowi: Norbert Barlicki /PPS/, Stanisław Grabski /Związek Ludowo-Narodowy/, Władysław Kiernik /PSL "Piast"/, Adam Mieczkowski /Narodowe Zjednoczenie Ludowe/, Ludwik Waszkiewicz /Narodowa Partia Robotnicza/, Michał Wichliński /Chrześcijańska Demokracja/, delegat wojska gen. Mieczysław Kuliński oraz dyplomaci polscy na Łotwie i w Estonii: Witold Kamieniecki i Leon Wasilewski. Sześćdziesięcioosobową stronę sowiecką, nominalnie reprezentującą Rosję, Białoruś /w składzie delegacji rosyjskiej/ i Ukrainę, stanowili przewodniczący - członek KC RKP/b/ Adolf Joffe oraz członkowie: poseł sowieckiej Rosji w Gruzji Sergiej Kirow, ludowy komisarz rolnictwa Ukrainy Dymitr Manuilski /skadinał, znany z wieloletniej działalności w Kominternie/ oraz Leonid Obolenski. /2/

Już podczas pierwszego posiedzenia w Pałacu Czarnogłowców w dniu 21 września, Dąbski uznał ponownie prawo delegacji sowieckiej do reprezentowania Ukrainy. Uczył to w momencie, gdy Bitwa nad Niemnem rozwijała się pomyślnie i rokowania militarne były co najmniej zachęcające. Dalej delegacja polska dążąca do tego, by granica polsko-sowiecka ustalona została "na podstawie sprawiedliwego pogodzenia żywotnych interesów stron rokujących" /2/, okazała zastanawiającą ustepliwość. Na terenie Ukrainy zadowolono się granicą wynegocjowaną z Petlurą, choć możliwe były korzy-

/1/ Rozgraniczenie wg. linii Curzona, ograniczenie polskich sił zbrojnych do 50 tys. ludzi, powołanie spośród robotników milicji obywatelskiej, przejęcie broni i sprzętu zbywającego wobec ograniczenia wojska przez Rosję z prawem przekazania tegoż milicji, korytarz łączący Rosję z Niemcami z prawem swobodnego tranzytu ludzi i towarów w tym wojskowych. - patrz "Dzieje Polski" Adama Krzyżanowskiego, str. 82-83.

/2/ Andrzej Skrzypek "Kronika Koegzystencji. Zarys Stosunków Polsko-Radzieckich w latach 1921-1939", PWN, Warszawa 1985.

tniejsze rozstrzygnięcia /około 50 km dalej na wschód, w tym Kamieniec Podolski/. "Zażarte" boje stoczył natomiast Dąbski i jego endeccy sprzymierzeńcy z delegacji sejmowej - z główną rolą Stanisława Grabskiego - o Białoruś. Nie, nie o niepodległą Białoruś - ani o związaną federację z Polską. O możliwie niewielkie nabytki terytorialne na Białorusi. 2 października odrzucono propozycję Joffego pozostawiającego po stronie polskiej większość Białorusi z Mińskiem i przyjęto granicę przebiegającą o około 100 km bardziej na zachód. Uczyniono to - pisze Jerzy Łojek w artykule "Idea federacyjna Józefa Piłsudskiego", a zamieszczonym w zatytułowanym "Józef Piłsudski" "Zeszytach Specjalnym Studium Nauki Społecznej Kościoła" - pod szczególnym naciskiem Stanisława Grabskiego, który jak sam to potem wyznał /patrz str. 52/ obawiał się, iż włączenie w skład Polski większości Białorusi uczyni ponownie aktualną koncepcję federacyjną przynajmniej na historycznej Litwie. Sprzeczne zaś byłoby to z endecką koncepcją przymusowej asymilacji ludności niepolskiej - według jej zwolenników realnej, w sytuacji kiedy mniejszości narodowe nie przekroczą jednej trzeciej ludności Polski. Wobec takiej polityki polskiej delegacji traktat preliminarzy zawarto bardzo szybko - bo 12 października, resztę czasu /do marca/ zużywając na targi, głównie ekonomiczno-finansowe.

Taki styl rozmów polsko-sowieckich zemścił się bardzo szybko. Oto Sowieci nie wykonywali postanowień traktatu, zwłaszcza dotyczących repatriacji jeńców, zakładników, internowanych, a także reszty Polaków często wcielanych do Armii Czerwonej oraz zalegali ze spłatą wynegocjowanych w Rydze należności. Trudności te usunięto w trakcie przeprowadzonych w Warszawie rokowań na przełomie września - października 1921r. Ze wypełnienie przez Sowiety ryskich zobowiązań Polacy /negocjował znowu Jan Dąbski/ zapłacili pozabawieniem prawa azylu czterem rosyjskich i ukraińskich polityków antykomunistycznych w tym Borysa i Wiktora Sawinkowów, Semena Petlury i gen. Michała Gniłorybowa. W efekcie tego porozumienia sprzymierzeńcy Polski z 1920 roku musieli opuścić nasz kraj, Sowieci zaś należności i tak nie zapłacili. Jedynym może pozytywnym efektem tych negocjacji były protesty w sejmie i dymisja negocjatora - wiceministra Jana Dąbskiego uniemożliwiająca mu dalszą owocną działalność.

Wydaje się, że główni "ojcowie" Traktatu Ryskiego ze strony polskiej - Jan Dąbski i Stanisław Grabski - nie zdawali sobie zupełnie sprawy z dalekosężnych skutków swoich działań. Wynika to zarówno z opublikowanej w 1943 roku broszury Grabskiego "La Frontière Polono-Soviétique" /patrz Jerzy Łojek, str. 52/ jak i z wydanych w 1931 roku w Warszawie wspomnień Dąbskiego "Pokój ryski".

Byli jednak tacy, którzy już wtedy zdawali sobie sprawę, że "niepodległość Polski nie da się pomyśleć bez niepodległości Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Ukrainy i Białorusi. /.../ Jeśli Polska zostanie osamotniona, jeśli inne państwa powstałe na gruzach Rosji nie zdołają się utrzymać, smutna czeka ją przyszłość". Powyższe słowa napisał 28 listopada 1920 roku niestrudzony propagator idei federacyjnej, zwolennik porozumienia polsko-ukraińskiego, zamordowany później w niejasnych okolicznościach, prawdopodobnie przez nieprzejednanych Ukraińców, Tadeusz Hołówo, /patrz Jerzy Łojek, str. 54/

Dzisiaj zaś sytuacja wydaje się jeszcze bardziej oczywista. Dyskusowanie z perspektywy 1985 roku - pisze w cytowanym już tekście znakomity historyk i popularyzator Jerzy Łojek - kto w programie narodowościowym miał rację w 1919-20 roku, jest w świetle dokumentów historii zupełnie bezsensowne. Nie ulega wątpliwości, że program federacyjny Józefa Piłsudskiego, gdyby został zrealizowany, dałby Rzeczypospolitej w latach 1939-45 nieporównanie większe szanse uzyskania należytych warunków bytu politycznego na okresie Drugiej Wojny Światowej.

Rozwijając myśl Łojka, można by powiedzieć, że 18 marca 1921 roku w Rydze delegacja polska - unicestwiająca swoim podpisem program budowania trzeciej siły między Rosją a Niemcami; wikłająca Polaków jeszcze bardziej w beznadziejny konflikt z Ukraińcami, Białorusinami, Litwinami - podpisała preliminaria do zawartego w 18 i pół roku później Paktu Ribbentrop-Mołotow. Paktu, który po rozszerzeniu w Jąckie, wszystkie narody Europy Środkowej pomieścił w sowieckim więzieniu narodów, uświadamiając nam wszystkim wspólnotę naszych losów tak dobitnie wyrażoną przez Tadeusza Hołówkę: NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI NIE DA SIĘ POMYŚLEĆ BEZ NIEPODLEGŁOŚCI LITWY, ŁOTWY, ESTONII, FINLANDII, UKRAINY i BIAŁORUSI" /i już ze współczesnym dodatkiem/ CZECHOSŁOWACJI, WĘGIER, RUMUNII.

GRANICE TOLERANCJI

Wiele się w Polsce ostatnio mówi o tolerancji. W polskim języku politycznym tolerancja /jako słowo/ funkcjonuje w wielu znaczeniach, przybierając różną postać i to niekoniecznie tę właściwą. Tolerancja jest pojęciem zaczerpniętym z języka etyki, jest więc ona normą moralną, której przestrzeganie lub nieprzestrzeganie nie związane jest z istnieniem ludzkiego sumienia, tj. jedyne w swoim rodzaju ośrodka samooceny postępowania ludzkiego. Tolerancja w takim rozumieniu powinna polegać na łączeniu dwóch postaw tj. negatywnej oceny działalności ludzi i całych grup przy jednoczesnym nie-stosowaniu wobec nich ograniczeń lub sankcji. Czyli inaczej mówiąc tolerancja to uznawanie prawa innych ludzi do wyrażania własnych poglądów, w tym również poglądów politycznych. Tolerowanie cudzych poglądów, tolerowanie odmiennych zachowań nie oznacza identyfikacji z tymi poglądami, czy akceptacji tych zachowań. Tolerować, to znaczy przyjąć taką postawę, która zakłada, że inny człowiek może inaczej myśleć, może inaczej formułować swoje sądy, może inaczej się zachowywać, ubierać itp. Za odmienność nie można nikogo szykanować, skazywać, więzić.

Stosowanie zasady tolerancji ułatwia ludzkie życie, rozładowuje konflikty i łagodzi ostrość nowo powstających. Filozoficzno-etyczna zasada tolerancji odcisnęła swoje mocne piętno w prawodawstwie wielu krajów. W krajach, w których system prawa stanowionego oparty jest o zasady moralne, tj. przede wszystkim o prawo człowieka do wolności i o szacunek godności osoby ludzkiej - normy prawne sankcjonują stosowanie zasady tolerancji w życiu społecznym i politycznym. Typowym przykładem prawnego zastosowania zasady tolerancji jest akceptacja pluralizmu politycznego jako jedynie dopuszczalnej techniki rządzenia. Istnienie pluralizmu politycznego zakłada prawo do odmienności poglądów politycznych, prawo do artykułowania tej odmienności poprzez zrzeszenie się w partie polityczne, organizacje społeczne i wyznaniowe, związki zawodowe itp. Między tymi zróżnicowanymi strukturami społeczno-politycznymi toczy się nie-raz zacięta walka o wpływy i władzę. Toczy się ona z reguły jednak metodami parlamentarnymi, rzadko przyjmując gwałtowne formy łamiące zasady tolerancji moralno-prawnej. Przeciwnicy polityczni dobrze zdają sobie sprawę, że ich postępowanie, słowa, zachowania podlegają nieustannej kontroli opinii publicznej. Można więc krytykować, podważać koncepcje polityczne rywala, można walczyć o prymat, nie można jednak stwierdzić, że po wygranej batalii poleci się aresztować i powsadzać do więzień ludzi nie zgadzających się z programem i metodami rządzenia. Istnienie systemu demokratycznego niejako wymusza funkcjonowanie w życiu politycznym zasady tolerancji, tak jak wymusza poszanowanie wolności człowieka i wolności gospodarowania.

W systemie totalitarnym nie może być mowy o tolerancji, gdyż prawnie zakłada on istnienie tylko jednego ośrodka kierowniczego, jednej partii i jednej formy gospodarowania. Niemożliwe jest stosowanie w życiu polityczno-społecznym zasady tolerancji jeżeli toleruje się tylko takie zachowania polityczne, które zgodne są z oficjalną wykładnią rządzących. Nie ma więc miejsca na legalnie istniejącą opozycję, nie ma miejsca na wolność prasy, nie może być mowy o tolerancji wobec osób głoszących przeciwnostawne poglądy. Dlatego też w ustroju komunistycznym jedyną odpowiedzią na dążenie społeczeństwa do poszerzania swobód demokratycznych będą procesy i więzienia. Taka jest istota systemu totalitarnego, taka jest istota komunizmu.

Po tych rozważaniach, należałoby sobie zadać podstawowe pytanie o istnienie granic tolerancji. Jeżeli postawa tolerancji jest normą moralną, a więc wywodzącą się nie tylko z istnienia wolnej natury człowieka musi więc ona stać na straży czegoś co wyznacza istotę człowieczeństwa. Pełni więc ona funkcję wspomagającą wobec najwyższych wartości jakimi są poszanowanie godności człowieka, poszanowanie wolności i poszanowanie życia ludzkiego. Każdy więc człowiek, każda grupa społeczna, każda partia polityczna ma prawo do głoszenia i realizowania w praktyce odmiennych koncepcji i poglądów, jeżeli nie będą one naruszały zasadniczych, wspomnianych wyżej wartości. Nie można więc stosować zasady tolerancji wobec rządzących, którzy w swoich programach politycznych i praktyce policyjnej łamią godność człowieka, zabierają przyrodzoną wolność i narażają, lub zabierają życie ludzkie, tylko dlatego, aby utrzymać się u władzy. Najwymowniejszym tego przykładem, oprócz współczesnego komunizmu, był system hitlerowski w Niemczech i system stalinowski w ZSRR. Oba te systemy wprawdzie powstały w innych warunkach i innych okolicznościach, ale w praktyce dążyły do tego samego, - w poczynaniach zagranicznych do podboju i eksploatacji coraz to nowych narodów, w polityce wewnętrznej do stworzenia cywilizacji więziennej, poprzez podeptanie wszyst-

tkich osobowych praw ludzkich. Stworzenie nowego człowieka hitleryzmu i komunizmu, człowieka wyciętego z zasad i norm moralnych, człowieka oddanego bez reszty partii i wodzowi to był cel, realizowany wszystkimi metodami. System faszystowski to już historia, o której w Niemczech, czy Włoszech nie chce się wspominać, system komunistyczny, wprawdzie nieco zmodyfikowanej formie trwa do dzisiaj, a jego istota nie zmieniła się ani na jotę. Stosowanie zasad tolerancji wobec osób poniżających godność człowieka czy wobec systemów stosujących w praktyce metody ludobójstwa, nie jest już tolerancją tylko zwykłą kapitulacją i niewolą.

Tak więc granice istnienia tolerancji są dość ostro wytyczone i w zasadzie nie podlegające dyskusji. Gdyby koalicja antyhitlerowska nie obaliła systemu faszystowskiego, gdyby przypatrywano się biernie obozom koncentracyjnym i coraz to nowym podobojom, nie byłoby to tolerancją, a akceptacją zbrodni i bezprawia. Z moralnego punktu widzenia winę za to wszystko ponosiliby zarówno bezpośredni sprawcy jak i ci, którzy biernie się temu wszystkiemu przyglądali. Podobnie i dzisiaj za łamanie praw człowieka, za gułagi, za więzienia i zsyłki ponoszą odpowiedzialność nie tylko funkcjonariusze systemu komunistycznego, ale wszyscy, którzy o tym wiedzą i nic to ich, lub niewiele, obchodzi, a także ci, którzy udają, że nic nie wiedzą.

Tolerancja jest szczytną wartością moralną, która w sprzyjających warunkach powinna stać się wartością ogólnospołeczną. Gdy mówimy o Polsce od razu kojarzymy nasz kraj z katolicyzmem i tolerancją. Nie podejmuję się wyczerpująco polemizować z tymi stereotypami, zwłaszcza, że o tradycyjnym polskim katolicyzmie napisano już bardzo wiele. Chciałbym jednak kilka słów powiedzieć o historycznej polskiej tolerancji. Polska w X wieku weszła do rodziny narodów europejskich poprzez przyjęcie chrześcijaństwa w jego rzymskiej odmianie. Od tego czasu rozwój naszego kraju, jest porównywalny z rozwojem innych krajów europejskich. Pierwsze wieki naszej historii to tworzenie zrębów państwowości, ustalanie granic, ciągłe walki ze znacznie lepiej rozwiniętym sąsiadem germańskim. Dlatego też wprowadzenie chrześcijaństwa nie mogło odbywać się pokojowo, przy pomocy przygotowań katechetycznych i perswazji. Często więc używano przy tym kija i miecza, a także ognia do palenia bożków i gontyn pogańskich. Tak jednak w tym czasie wprowadzanie nowej wiary odbywało się wszędzie, a metody te nie wywoływały żadnego zdziwienia.

Zwolennicy tożsamości pojęć tolerancji i polskości bardzo chętnie powołują się na sytuację społeczno-polityczną panującą w okresie ostatnich Jagiellonów. Jest faktem, że istnieje w opracowaniach historycznych pełna zgodność co do takiego właśnie stylu rządzenia tych władców. Zygmunt August sam o sobie wielokrotnie mówił, że nie chce być królem ludzkich sumień i co bywa rzadkością swojego przyrzeczenia dotrzymywał. Polska tego okresu jest krajem naprawdę tolerancyjnym, w którym zgodnie współdziały i współpracują ze sobą odłamy społeczeństwa o różnej kulturze, religii, tradycji i historii. Katolicy królowie polscy nadają tytuły i godności w służbie Rzeczypospolitej niekatolickim Radziwiłłom, Firlejom i Zborowskim.

Należy sądzić, że tak daleko idąca tolerancja polska miała swoje korzenie przede wszystkim w historycznej przeszłości Polski, we włączeniu w organizm Rzeczypospolitej ludów o innej kulturze i innej religii. Piętnastowieczni Polacy byli przyzwyczajeni, że obok nich mieszkają ludzie wyznający nie tylko katolicyzm, ale i prawosławie. Współżycie z nimi uważali za coś normalnego, rozumiejąc, że nie wzajemne wojny, ale dobrosąsiedzkie stosunki przyniosą im znacznie więcej korzyści. Tolerancja zostaje więc niejako wymuszona przez wielonarodową i wieloreligijną mozaikę państwa polskiego. Takiej sytuacji nie było ani we Francji, ani w Hiszpanii czy Niderlandach. Polska racja stanu jako państwa wielonarodowego i zróżnicowanego religijnie musiała się więc opierać na tolerancji w praktyce, gdyż alternatywą była wojna, nie tylko domowa, ale wojna między różnymi narodami zamieszkującymi ten sam organizm państwowy. Może gdyby Polska znajdowała się geograficznie gdzie indziej, gdyby nie związała się z Litwą, gdyby nie zajęła części Rusi, gdyby przez wieki nie była państwem wielonarodowym, to możliwym jest, że historia nie oszczędziłaby nam religijnych wojen domowych podobnych francuskiej, angielskiej czy niemieckiej. Nie znaczy to wcale, że w ówczesnej Polsce nie było gwałtów, morderstw, czy bezprawia. Lecz zasięg ich i gwałtowność była znacznie niższa niż w innych państwach.

Upadek Polski w końcu XVIII w. zmienił wiele w obrazie polskiej tolerancji, ale nie zmienił aż tak dużo, aby można było mówić o rodzeniu się w świadomości Polaków odwrotnego trendu, czyli nietolerancji. Jest rzeczą oczywistą, że państwo zasobne gospodarczo, cieszące się prestiżem na arenie międzynarodowej, państwo o długiej demokratycznej tradycji, siłą rzeczy może pozwolić sobie na o wiele większą tolerancję

niż państwo ubogie, wewnętrznie słabe, czy wręcz pozbawione własnych instytucji państwowych. Państwem zasobnym, o mocarstwowej randze była Polska Jagiellonów, dzieje zaś późniejszej Rzeczypospolitej to powolny proces słabnięcia organizmu państwowego, aż do jego całkowitego zaniku.

Okres dwudziestolecia międzywojennego i uwikłanie się Polski w wojny i spory ze wszystkimi jej sąsiadami i wynikające z tego konsekwencje znajdzie Czytelnik na dalszych stronach bieżącego numeru. Warto jednak zastanowić się przed wydaniem sądu - wskazującego na Polskę dwudziestolecia jako na państwo o nietolerancyjnej polityce narodowościowej - nad głębszymi przyczynami tego stanu rzeczy. Żadne państwo na świecie, zwłaszcza takie, które odradza się po wiekowej niewoli, nie może pozwolić sobie na istnienie w jego granicach zbrojnych ugrupowań kwestionujących legalizm tego państwa i to w sytuacji istnienia parlamentarnych metod wpływania na wspólne sprawy. Mam tu oczywiście na myśli ukraińską mniejszość narodową. Problem stosunków polsko-ukraińskich był niesłychanie skomplikowany i sądzę, że żadne państwo będące na miejscu Polski nie rozwiązałoby go w sposób w pełni zadowalający. Zwłaszcza, że tych trudnych spraw nie da się sprowadzić do praktykowania tolerancji, ponieważ szło o utrzymanie niepodległości. Na wykrystalizowanie się bardziej tolerancyjnej polityki narodowościowej chyba zabrakło czasu. Kto wie, czy gdyby nie doszło do wybuchu Drugiej Wojny Światowej, Polska nie stałaby się krajem o stabilnej gospodarce, rządzonym w sposób demokratyczny.

A jak wcześniej wspominałem tylko demokratyczny system rządzenia i pluralistyczny system polityczny mogą zapewnić poszanowanie praw obywatelskich i szeroko rozumianej tolerancji. Liberalna myśl polityczna głosząc z jednej strony ograniczenie roli państwa w życiu gospodarczym do niezbędnego minimum, przekazując wiele inicjatyw społecznych i politycznych w ręce obywateli, stoi na stanowisku istnienia silnego państwa. Tę siłę musi czerpać państwo ze stabilnego systemu rządzenia, wynikającego z obywatelskiego poparcia. Państwo obywatelskie jest państwem wolnych obywateli i jako takie musi mieć wpisane w swój polityczno-moralny kodeks zasady tolerancji. Wolność musi zakładać istnienie tolerancji, gdyż od panoszenia się nietolerancji jest już tylko krok do totalitaryzmu. Wszystkie totalitarne systemy wprost, lub w bardziej finezyjny sposób posługują się stosowaniem polityki nietolerancyjnej w życiu publicznym. Faszyzm na tle narodowo-rasowym, komunizm zaś pod pretekstem walki klas.

Czy współczesne polskie społeczeństwo jest, czy nie jest społeczeństwem tolerancyjnym? Wydaje się, że biorąc pod uwagę, iż przez ostatnie 40 lat nietolerancja była częścią składową komunistycznego porządku na ziemiach polskich, Polacy wykazali dużą odporność na indoktrynację nienawiścią i szowinizmem z dużą konsekwencją aplikowaną im przez propagandę komunistyczną. Zwłaszcza po roku 1980 wygrywanie przez władzę różnych resentymentów okazuje się coraz mniej skuteczne. Ostatnio, Polacy coraz powszechniej dochodzą do wniosku, że przejawiana przez nich w mniejszym lub większym stopniu "tolerancja" dla panoszącego się od lat ustroju komunistycznego powinna mieć swoje nieprzekraczalne granice - ich przekroczenie to akceptacja statusu pozbawionego wszelkich ludzkich praw niewolnika.

Wacław WOJENNY

POCHWAŁA NIETOLERANCJI

Jestem człowiekiem nietolerancyjnym. Tak mówi wielu moich znajomych, moja rodzina, a również ja sam. Moja nietolerancja rozciąga się na kilka obszarów.

Po pierwsze, jestem nietolerancyjny wobec zjawisk uznawanych przeze mnie za patologiczne - przestępstw, pijactwa, narkomanii. Wielu ludzi tolerancyjnych zgodzi się w tym miejscu ze mną. Powie: "Ależ tak! My również nie tolerujemy tego typu zjawisk". Moja nietolerancja idzie jednak zapewne dalej niż ich. Nie rozczulam się nad ciężkim dzieciństwem młodocianego bandyty, a po prostu żądam jego ukarania. Nie interesuje mnie głębia filozofii narkomanów, nie rozumiem też dlaczego prawo nie występuje z całą surowością przeciw tej ładze, widocznej gołym okiem w centrum Warszawy.

Po drugie, nie toleruję obyczajowości, która nie jest zgodna z uznawaną przeze mnie normą. Potępiam rozwody, zdrady małżeńskie, pronografie, przerywanie ciąży. Po prostu jestem przeciw i nie ukrywam swych poglądów.

Po trzecie, jestem nietolerancyjny wobec poglądów, z którymi się nie zgadzam. Z trudem przychodzi mi zachowanie milczenia, gdy ktoś w mojej obecności wyraża opinię,

której jestem przeciwny. Częściej podejmuję polemikę, dając jasno do zrozumienia, co sądzę o autorze idiotycznych, według mnie, twierdzeń.

Mimo jasno uświadomianej sobie nietolerancji nie zamierzam się poprawiać, nie uważam też tej cechy za największą swoją wadę. Otóż to! Czy tolerancja jest wartością jednoznacznie pozytywną? Moim zdaniem jest tylko formą stosunków międzyludzkich, która może być wypełniona różną treścią. Jak większość wartości uznawanych przez współczesnego, cywilizowanego człowieka o orientacji nazwijmy to zachodniej, jest trudna do zdefiniowania. Te pojęcia - wolność, sprawiedliwość, demokracja, czy w końcu tolerancja są niezwykle rozciągliwe i nieprecyzyjne. Powoduje to skutki takie, iż większość ludzi przyznaje się do nich, uważa się za wyznawców tych cnót, lecz niewiele z tego wynika skoro definicji jednoznacznej nie ma. Z drugiej strony pojęcia te żyją własnym życiem, liczą się jako słowa a nie zjawiska za tymi słowami się kryjące.

Człowiek współczesny, zwłaszcza żyjący w krajach zachodnich, gdzie udało się najlepiej wartości wolności, demokracji i tolerancji wcielić w życie, uważa je za tak wspaniałe, iż powinny być rozszerzane w nieskończoność.

Skoro wolność jest wartością pozytywną i wspaniałą, powinniśmy poszerzać ją i pogłębiać. Skandalem jest więc zamykanie ludzi w więzieniach, nawet jeżeli są przestępcami. Skandalem jest narzucać ludziom dyscyplinę pracy /toż to alienacja!/, a uczniom jakkolwiek program nauczania.

Skoro równouprawienie jest wartością pozytywną, rozszerzajmy ją i odrzućmy takie niesprawiedliwości jak podział pracy w rodzinie między kobietą i mężczyzną /"Kobieta jest Murzynem świata" - czyż nie?/.

Skoro tolerancja jest czymś wspaniałym - gódźmy się ze wszystkimi poglądami i postawami - tolerujmy narkomanów - w końcu to nie nasza sprawa, chronimy specjalnym prawem homoseksualistów - wobec nietolerancyjnego motłochu.

Błąd tego rozumowania polega właśnie na nadmiernym rozszerzaniu tych wartości, a także na ujmowaniu ich bez związku z innymi. Tymczasem są one ze sobą związane. Tolerancja wobec zjawisk patologicznych jest sprzeczna z wartościami takimi jak godne życie, czy życie w ogóle. Bezpieczeństwo jednostki, wartość niewątpliwa, może być zagrożone, gdy w imię wolności jednostki uniemożliwi się działanie aparatu sprawiedliwości. Tak więc wartości znajdują się ze sobą w stałym konflikcie i niezbędne są rozsądne kompromisy. Oczywiście tam, gdzie mowa o kompromisach, nie ma mowy o wartościach absolutnych. Te, o których mówię, są jedynie wartościami względnymi.

Czasami wybór między nimi jest szczególnie dramatyczny. Tak jest na przykład wtedy, gdy wolność jakichś grup społecznych, czy narodowych stoi w sprzeczności z bezpieczeństwem, czy nawet niepodległością kraju. W takich wypadkach nie ma łatwych recept, a często wybory są bolesne. Sytuacja taka występowała w Polsce międzywojennej, posiadającej liczne mniejszości narodowe, czynnie zwalczające niepodległe państwo polskie. Wszelkie wybory były tragiczne.

Czy można zastąpić niepewne, względne wartości do jakich należy tolerancja, wartościami uniwersalnymi, absolutnymi? Dla mnie osobiście wartości te niesie wyznaczona przeze mnie religia.

Nakazuje ona miłość wobec bliźnich, ale wcale nie tolerancję dla ich wad i błędów. Będąc więc nietolerancyjny, wcale nie uważam, abym postępował sprzecznie z wyznawaną religią. Trzeba jednak sprecyzować zakres pojęcia nietolerancji. Z faktu, że nie zgadzam się z "czyjąś" postawą, a nawet poglądem, wynika to, że się im przeciwstawiam. Moja akcja jednak poza ograniczonością moich możliwości jest limitowana również innymi poglądami. Moja religia, nie zakazując mi nietolerancji, a nawet nakazując mi ją, stawia jednocześnie ograniczenia wobec czynnych działań nietolerancyjnych. Tak więc nie wolno mi zabijać, kraść, ani w ogóle nadmiernie krzywdzić bliźniego, a raczej wprost przeciwnie, winienem go kochać, także wtedy, gdy zwalczam jego poglądy, czynnie przeciwstawiam się jego postawom, uniemożliwiam mu czyny, które uważam za niewłaściwe. Moja nietolerancja, tak jak i tolerancja ludzi tolerancyjnych, ma w ten sposób swoje granice.

Zyndram ZMASZKOWSKI

MIT TOLERANCJI

Polacy mają o sobie bardzo dobre mniemanie. Są przecież narodem o starej, łacińskiej kulturze, o wielowiekowych tradycjach demokracji i tolerancji, znanym na całym świecie z odwagi i patriotyzmu. Polakom nie przychodzi do głowy, że żywione przez nich przekonania to wspominki szacownej przeszłości, funkcjonujące obecnie raczej w sferze mitu niż realnie istniejącej rzeczywistości. Przyjrzyjmy się choćby sławnej i stale przywoływanej polskiej tolerancji. Nie da się zaprzeczyć, że istniała. W XV i XVI wieku Polska, a właściwie ściślej Rzeczpospolita, była krajem, którego władca deklarował dobitnie, że nie chce być królem sumień swoich poddanych; którego przedstawiciele głosili publicznie prawo pogan do własnej religii i do własnego stylu życia; w obrębie którego współżyło wiele narodowości /Polacy, Litwini, Rusini, Żydzi, Niemcy, Tatarzy, Ormianie.../ i wiele religii, w tym, rzecz bez precedensu, islam; w granicach którego znajdowali schronienie uciekinierzy ze wszystkich stron Europy.

Powody tego fenomenu to dyskusyjna sprawa. W przekonaniu piszącego te słowa, polska /i litewska/ tolerancja wynikała z potrzeby stricte politycznej. Równouprawniony związek dwóch państw, a w tym kierunku ewoluowała Unia, przyzwyczajał stopniowo do tolerowania /początkowo od tolerować, później od tolerancja/ odmienców, do znajdowania wartości w różnorodności. Włączenie w organizmy państwowe Polski i Litwy ogromnych obszarów Ziem Ruskich, których mieszkańcy wyznawali inną wiarę i polityczna konieczność uzyskania akceptacji Rusinów dla tego rozwiązania - zwłaszcza wobec rywalizacji polsko-litewskiej o niektóre ziemie ruskie /Wołyń i Podole/ oraz konfrontacji z W.X. Moskiewskim "wymusiły" tolerancję religijną. Intensywne zagospodarowywanie słabo zaludnionych Kresów ruskich doprowadziło do codziennych kontaktów mówiących różnymi językami i wyznających różne religie współobywateli, zaakceptowania wzajemnych odrębności, uznania ich za oczywiste... i sławnej polskiej tolerancji.

Tylko, że wraz z kryzysem dawnej Rzeczpospolitej przyszedł i kryzys tolerancji, a wraz z upadkiem państwa jej kres. Pod zaborami Polacy co najwyżej mogli, dla pokrzepienia serc przywoływać wspomnienia Złotego Wieku - tolerancji już praktykować nie mogli. Może z jednym wyjątkiem - Galicji za Franciszka Józefa. Jak ją praktykowali najlepiej świadczy ostrość i siła konfliktu polsko-ukraińskiego.

Również sytuacja Polski niepodległej nie przedstawiała się zachęcająco.

Polska niepodległa była krajem z licznymi, nie identyfikującymi się z państwem mniejszościami religijnymi i narodowymi. Z marzącą o powrocie w granice Wielkiej Rzeczy Mniejszością niemiecką. Z dążącą do utworzenia własnego państwa - Samostijnej Ukrainy - mniejszością ukraińską. Z upośledzoną ekonomicznie, pozbawioną ziemi - a więc stanowiącą bazę dla wszystkich ruchów radykalnych - mniejszością białoruską. I wreszcie z ogromną, wielomilionową, jeszcze powiększoną o sześćsettyśięczną rzeszę uciekinierów z ogarniętej rewolucją Rosji, często nie identyfikującą się z państwem polskim, ba, nie znającą nawet polskiego języka, silną ekonomicznie, zwłaszcza w handlu i drobnym przemyśle, mniejszością żydowską.

Polska niepodległa była krajem różniącym się także religijnie. Obok potężnego, identyfikującego się i identyfikowanego z polskością Kościoła Katolickiego istniała silna, zwłaszcza wśród Białorusinów i części Ukraińców, Cerkiew Prawosławna. Istniał silnie skonfliktowany z prawosławiem Kościół Grecko-Katolicki i Katolicki Obrządek Ormiański. Istniało wiele kościołów i sekt protestanckich. I istniały religie niechrześcijańskie. Liczące wiele milionów wyznawców - mojżeszowa i znacznie mniej liczna, chociaż też dostrzegalna, muzułmańska i karańska.

Polska niepodległa była krajem zróżnicowanym ideowo. Obok bardzo silnych kierunków narodowego i socjalistycznego i ogromnie zróżnicowanego ludowego, istniała cała masa kierunków o mniejszym znaczeniu: monarchistów, różnego rodzaju konserwatystów, chadeków, liberałów, ba, nawet komunistów, a także liczne ugrupowania mniejszości narodowych.

Polska niepodległa była krajem zróżnicowanym politycznie. Istniały kierunki opowiadające się za klasyczną demokracją, istnieli zwolennicy silnej władzy sprawowanej demokratycznymi metodami, istnieli wreszcie zwolennicy dyktatury i porządku.

W państwie tak zróżnicowanym pod względem narodowym, religijnym, politycznym i ideowym; w państwie świeżo odrodzonym po 120-letniej niewoli; w państwie, którego najsilniejszym stronnictwem była nacjonalistycznie nastawiona endecja; w państwie, którego współobywatele zaledwie parę lat wcześniej toczyli ze sobą krwawe walki; w państwie, w którym najliczniejsza mniejszość narodowa zmonopolizowała prawie całkowicie w swoich rękach istotny sektor ekonomiczny - nie było po prostu miejsca na prak-

tyczne stosowanie tolerancji. Było natomiast miejsce w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym na nietolerancję. Zbyt wielkie były różnice i zbyt ostra ich świadomość. Zbyt małe natomiast poczucie wspólnoty historycznej, narodowej czy państwowej przy praktycznie żadnych umiejętnościach praktykowania pluralizmu - a więc tolerancji - w życiu publicznym. Wynikiem tej sytuacji były m.in.: brak stabilizacji politycznej spektakularnie umocniony w konflikcie endecji i Piłsudskiego oraz niemożność sformułowania możliwej do zaakceptowania przez większość liczących się sił politycznych koncepcji ułożenia stosunków z mniejszościami narodowymi. Realizowany w praktyce endecki program asymilacyjny po polskiej stronie i maksymalistycznie radykalne koncepcje po stronie mniejszości nie dawały żadnych szans na jakiś kompromis, aychając polityków reprezentujących mniejszości, zwłaszcza białoruską i ukraińską, na rozycje radykalizmu komunistycznego lub terroryzmu, uruchamiającą beznadziejną dla obu stron spiralę gwałtu.

Nie wynrutowano także żadnej realistycznej koncepcji rozwiązywania nabrzmiałej i trudnej kwestii żydowskiej. Różne kierunki polityczne forsowały odmienne propozycje jej rozwiązania - od asymilacyjnej, poprzez bojkot ekonomiczny do mniej lub bardziej przymusowej emigracji do Palestyny... lub w ostateczności na Madagaskar.

W takiej sytuacji wewnętrznej liczenie, że zagrożeni także z zewnątrz - przez komunistyczny totalitaryzm i niemiecki rewizjonizm - Polacy będą praktykowali tolerancję byłoby dowodem dużej naiwności i niezrozumienia mechanizmów działających w społeczeństwie. Metody walki politycznej - choćby endecji z Piłsudskim i Narutowiczem, a potem Piłsudskiego z Sejmem; traktowanie mniejszości przez Polaków / i vice versa/ - powszechne nastawienie antyukraińskie, stereotyp Ukraińca - ryzuna czy agresywna, prymitywna i irracjonalna endecka pronoganda antysemitcka dowodnie o tym świadczą.

Tym niemniej, biorąc pod uwagę ówczesny kontekst polityczny - choćby komunistyczne Sowiety i nazistowskie Niemcy, o Łacińskiej, zachodniej Hiszpanii nie wspominając - zastanawiająca jest owa specyficzna na ówczesne warunki, może z jednym ukraińskim wyjątkiem, polska "łagodność", przejawiająca się brakiem krwawych ekscesów na większą skalę czy bezprecedensowo bezreprezyjnym przebiegiem zamachu majowego. Wydaje się, że niebagatelną rolę odegrał tu niepraktykowany już, ale egzystujący w sferze mitu, ideał polskiej tolerancji - żywa wciąż pamięć o czasach świetności Rzeczypospolitej, kiedy to obok siebie żyli w zgodzie ludzie różnych religii, języków, przekonań i narodowości. Wysublimowany mit państwa, w którym decydowało prawo a nie siła, łagodził obyczaje. I choć tolerancji nie umiano już stosować w codziennym życiu, nietolerancję praktykowano w formie raczej łagodnej.

Je-szcze gorsze warunki dla praktykowania tolerancji mieliśmy po II wojnie światowej, po przejęciu władzy przez komunistów. Agresywny system polityczny i ideologiczny monopolizujący władzę w rękach wąskiej grupy wyraźnie ją uniemożliwił. Zwłaszcza, że werbalnie i fizycznie walcząc z nacjonalizmem i antysemityzmem wykorzystywał je jednocześnie w różnych działaniach socjotechnicznych. Stąd mniejszości narodowe tak licznie reprezentowane w powszechnie znienawidzonych organach represji: Żydzi w MBP, Grecy w UB szczecińskim, Białorusini w UB białostockim. I stąd instrumentalne traktowanie przez reżym antysemityzmu.

Na szczęście ostatnio coraz trudniej posługiwać się władzy resentymentami, zarówno antyżydowskimi jak i antyukraińskimi - wyniki tych działań są raczej żałosne, dla ich inspiratorów, choć przynoszą im przynajmniej jedną ewidentną "korzyść" - podtrzymują niechęć do Polaków na Zachodzie.

Tym niemniej powszechne wśród Polaków przekonanie o tolerancji i otwartości polskiego społeczeństwa nie wytrzymuje krytyki. Po bliższej analizie okazuje się jeszcze jednym pięknym mitem. Przebieg wydarzeń w naszym kraju, choćby od momentu powstania demokratycznej opozycji wyraźnie to potwierdza i świadczy co najmniej o jednym. O tym, że nie umiemy się różnić między sobą. Nie szanujemy poglądów, których nie podzielamy. Nie znajdujemy żadnych wartości w różnorodności. I to zarówno w życiu publicznym jak i prywatnym. Nie umiemy spierać się o poglądy. Walcząc z błędymi, naszym zdaniem, przekonaniami, walczymy z ludźmi, którzy te przekonania wyznają. Wszystko, co napisaliśmy powyżej dotyczy zarówno społeczeństwa jak i elit politycznych. Przekonywujących dowodów za powyższymi тезami dostarczył okres legalnej działalności "Solidarności", kiedy to polityczne obyczaje Polaków zmanifestowały się jak nigdy.

Tymczasem, jeśli celem naszej walki ma być Polska niepodległa, Polska wolna, Polska demokratyczna, to cnotę tolerancji musimy praktykować zarówno w życiu publicznym jak i prywatnym. Co nie znaczy, oczywiście, nie przywiązywać wagi do poglądów, akceptować dla "świętej tolerancji" każdy bezsens, nie przeciwstawiać się ewidentnym

bzduram. O poglądy, o programy, o szczegółowe rozwiązania musimy się spierać. Ale musimy także umieć zaakceptować różnice między nami a programy przeznaczone do realizacji wypracowywać w szerokiej dyskusji i przyjmować demokratycznymi metodami, nie zaś administracyjnie lub z rekomendacji bardziej lub mniej niekwestionowanych autorytetów.

Pierwsze zaś kroki na tej drodze to uświadomienie sobie, że słynna polska tolerancja nie istnieje, że jest przywoływana z odległej przeszłości, krzepiącym serce i umysły wspomnieniem - dziś zaś nie mającym wiele wspólnego z rzeczywistością mitem. I stale ponawiane próby stosowania w praktyce w toczonej w podziemiu dyskusji i walce politycznej zasady tolerancji.

Artur WIECZYSTY

O "SHOAH" SINE IRA ET STUDIO

"poleca się wszystkim członkom ONR, gdyby kto spotkał Żyda na uczelni, pobić go i wyrzucić z terenu uczelni. Jeśliby okazała się przeważająca siła Żydów lub woźnych, którzy by stawali w obronie Żydów, należy zaalarmować innych kolegów do pomocy. Rozkaz niniejszy bezwzględnie musi być wykonany."

Zaprezentowanie w peerelowskiej telewizji wybranych fragmentów filmu Lanzmanna "Shoah" oraz zapowiedzenie wyświetlenia całości przynajmniej w Warszawie, wydaje się niepojęte, bo zupełnie do komunistów niepodobne. Zwłaszcza, że dzieło to początkowo potraktowano w sposób standardowy, uznając je za antypolskie i wylewano na nie kubły pomysł w środkach masowego przekazu. Jednak ciąg dalszy odbiegał od utartego w podobnych przypadkach schematu. Oto, zamiast zorganizowania hałaśliwych i pryncypialnych akcji protestacyjnych, zamiast podejmowania grzmiących od oburzenia rezolucji, zamiast dawania odporu... wyświetlono film - wprawdzie półtajnie, bez uprzedniej zapowiedzi i we fragmentach /1/... ale zawsze.

Wydaje się jednak, że powody takiego właśnie postępowania generalskiej władzy są całkowicie racjonalne - dadzą się wytłumaczyć podwójną manipulacją, przynosząc komunistom konkretne korzyści. Otóż, po pierwsze, władze liczyły, że ich gromkie protesty, że ich oburzenie, że ich unominanie się o honor Polski będą współbrzmieć z protestami i oburzeniem urażonego filmem /a raczej zaprezentowanymi fragmentami/ społeczeństwa polskiego. Dawało to szansę na zaprezentowane na zewnątrz jedności i jedności wszystkich, którzy myślą i czują po polsku. Przy okazji zarabiając jeszcze na etykietkę wyjątkowych - jak na czerownych - liberałów. Doradcy Generała liczyli zapewne także, że dyskusja jaką wywoła film Lanzmanna doprowadzi do ujawnienia głębokich podziałów w środowiskach niezależnych.

Drugi motyw wydaje się nieco bardziej wyrafinowany. Otóż, obraz Polski i Polaków jaki Lanzmann pokazuje w swoim filmie musiał wydawać się ekipie Jaruzelskiego dziwnie znajomym. Prymitywne, nacjonalistyczne, nieracjonalne społeczeństwo składające się z bezrefleksyjnych fanatyków, nad którymi rząd dusz sprawuje nietolerancyjny i antysemitki Kościół Katolicki, to przecież wizja nie tylko Lanzmanna. To także wizja Generała, a zwłaszcza jego speców od czarnej propagandy: Rakowskiego, Górnickiego, Toeplitza, Koźniewskiego, Kałużńskiego a przede wszystkim Urbana - Rema; wizja szeroko i oficjalnie kolportowana wszelkimi możliwymi sposobami.

Wizja ta jest tak oczywiście nieprawdziwa, że zupełnie nie warta polemiki, niezależnie od tego kto ją firmuje. Inaczej przedstawia się kwestia emocjonalnej reakcji obronnej wzbudzonej wśród części widzów, a współbrzmiejącej z oskarżeniami komunistycznych propagandystów: **L a n z m a n n p o m a w i a n a s P o l a k ó w o a n t y s e m i t y z m.**

No cóż, obrona społeczeństwa polskiego przed zarzutem antysemityzmu to działalność jałowa, to czysta strata czasu. Możemy się spierać o historyczne przyczyny tego zjawiska, o jego społeczne i ekonomiczne uwarunkowania, możemy spekulować na temat przemian jakim ostatnio ulega /2/, możemy pocieszać się z pewnym uzasadnieniem,

* bez gniewu i żapału - bezstronnie - obiektywnie

/1/ Trzeba przyznać, że komuniści w tym przypadku dotrzymali obietnicy i w grudniu wyświetlali w Warszawie, w kinie "Muranów" film Lanzmanna.

/2/ Świadczy o tym choćby porażka tych sił, które usiłowały posłużyć się antysemityzmem do walki z "SOLIDARNOSCIĄ" /komuniści/ lub w rozgrywkach wewnątrz "SOLIDARNOSCI" /"Prawdziwi Polacy"/.

że polski antysemityzm nie był jeszcze najgorszy i najgroźniejszy - nie możemy jednak twierdzić, że nie istniał - bo to nieprawda! Ten, kto fakt istnienia w Polsce antysemityzmu neguje, niech przeczyta uważnie zamieszczony na początku tego artykułu fragment ONR-owskiej ulotki /3/ i niech pamięta, że były czyny i wypowiedzi znacznie bardziej drastyczne /4/.

Szczęśliwie, polski antysemityzm nie doprowadził do masowych gwałtownych wystąpień, do pogromów, do fizycznej rozprawy z Żydami. Jest to na pewno w znacznym stopniu zasługa Kościoła Katolickiego - niechętnego Żydom, to prawda, ale z drugiej strony niechętnego wszelkim gwałtom i kierującego się w swoim nauczaniu ewangeliczną zasadą miłości bliźniego. Jest to także zasługa sanacji, która raczej nie posługiwała się hasłami nacjonalistycznymi, nie stosowała także techniki odwracania uwagi społeczeństwa poprzez kreowanie wroga wewnętrznego - poprzez napuszczanie Polaków na Żydów.

Tym niemniej problem istniejącego w Polsce antysemityzmu bagatelizujemy, uważamy za zjawisko marginesowe, staramy się o nim zapomnieć sypchając go w podświadomość. Wszelkie przypominanie tego zjawiska, przywoływanie ekscesów i zbrodni z nim związanych traktujemy jako złosliwe i krzywdzące pomówienia, jako godzenie w honor wszystkich Polaków. I oto Lanzmann - konfrontując nas z odgrzebanym przez niego z kurzu zapomniana zjawiskiem polskiego antysemityzmu - jak nikt przed nim - niszczy nasze samozadowolenie, w którym się schroniliśmy, zmuszając nas do rozliczenia się z naszą przeszłością, z jej odrażającymi aspektami; nie pozwalając przy tym na samooszukiwanie się pięknie brzmiącymi frazesami o tolerancyjnym, głęboko katolickim, łacińskim społeczeństwie. Tymczasem niezależnie od intencji twórcy "Shoah" /6/ powinniśmy mu być wdzięczni. Polskiego antysemityzmu nie wymażemy przecież z naszej historii, ani nawet z naszej teraźniejszości. Możemy go tylko przezwyciężyć ... i wymazać z naszej przyszłości. I film Lanzmanna nam w tym pomaga. Choćby poprzez tak drastyczne, choć zarazem jednostronne zarysowanie problemu.

Bowiem film Lanzmanna jest tendencyjnym, jednostronnym, namiętym oskarżeniem. Oskarżeniem o dopowiedzialność za ZAGŁADĘ. Oskarżeniem, nie sprawców, organizatorów i wykonawców - Niemców i kolaborujących z nimi Ukraińców, Litwinów, Żydów, Polaków, Francuzów; oskarżeniem kibicujących ZAGŁADZIE antysemitów - Polaków. Niemców - zwrócili mi na to uwagę znajomi, którzy widzieli cały film Lanzmanna - twórca "Shoah" jeśli pyta o coś - to o szczegóły techniczne. Reszta - czyli zbrodnia - jest tak jasna i oczywista, że nie ma o czym rozmawiać. Polakom Lanzmann jakby daje szansę. /Zwracając uwagę, że nigdzie nas nie oskarża o mordowanie Żydów/. Szansę wyjaśnienia jak to było możliwe, że na oczach jednych ludzi /Polaków/ wymordowano innych /Żydów/. Niestety zarazem szansę tę odbiera poprzez szczególny dobór materiałów do swego filmu, pop-

- /3/ Stanisław Rudnicki "Obóz Narodowo Radykalny. Geneza i działalność", Czytelnik, Warszawa 1985, str. 306; ulotka kolportowana na Uniwersytecie Warszawskim.
- /4/ Przykładowo, podajemy za Stanisławem Rudnickim /przyp. 45, str. 371/: Jan Antczak z Łódzkiego koła im. Chrobrego zabił na ulicy nożem przechodnia - Żyda. Gdy na posiedzeniu Rady Miejskiej napiętnowano morderstwo, adwokat /sic?!!/ Kowalski bijąc brawo zawołał: "Zabito Żyda, to brawo!", a radny Czernik /ze Stronnictwa Narodowego/: "Zabito jeanego Żyda, to mało".
- /5/ Myślę, że warto w tym kontekście za "ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI" przypomnieć dwa wydarzenia. Otóż, zaraz po zamachu majowym gen. Felicjan Sławoj-Skłodkowski, po stwierdzeniu, że w Polsce znajduje się 600 tysięcy Żydów, uciekinierów z Rosji, nie posiadających obywatelstwa polskiego, a w związku z tym pozbawionych wielu praw, w tym podróżowania, zwrócił się z tym problemem do Marszałka Piłsudskiego. "Polski nie stać na obywateli drugiej klasy" - zdecydował Piłsudski i wszystkim uciekinierom przyznano obywatelstwo polskie. W r. 1939 Polska natomiast przyjęła 15 tysięcy Żydów z Niemiec, czyniąc to w tym samym czasie, gdy wg. słów Olgierda Terleckiego Brytyjczycy "ostro limitowali emigrację żydowską do Palestyny...".
- "ZESZYTY HISTORYCZNE", nr 48 INSTYTUT LITERACKI, PARYŻ, str. 96
- Olgierd Terlecki "Pułkownik Beck", KAW, KRAKÓW, 1985, str. 179
- /6/ Świadczą o tym choćby wspomnienia jego przyjaciółki Simone de Beauvoir, która w trzecim tomie swego pamiętnika/"SIŁA RZECZY", PIW, 1967/^{opisuje} młodego Lanzmanna, sympatyka komunizmu - "marksizm był dla niego objawieniem" - uprawiającego bufonady w rodzaju przebierania się w sutannę i chodzenia po kweście, który "jakkolwiek miał wśród gojów wielu przyjaciół nigdy nie stłumił w sobie urazy do nich" i nawet ją oskarżał: "Wszyscy jesteście kapo!" - patrz "ŻYCIE LITERACKIE" nr 45/ /1755, 10.XI.85, str. 2.

przez ich specyficzną selekcję. Brak w filmie relacji o pomocy udzielanej Żydom przez Polaków, przez Podziemie, Radę Pomocy Żydom /"ŻEGOTE"/, Kościół Katolicki, poszczególne jednostki. Brak relacji o przechowywaniu, czasem całymi latami, ukrywających się Żydów. Nie dowiadujemy się z filmu Lanzmanna - był o tym informowany choćby w relacji Karskiego - o zignorowaniu przez opinię publiczną i koła rządowe na Zachodzie polskich i żydowskich apeli o podjęcie akcji zapobiegającej ZAGŁADZIE, o roznacziwym proteście przeciw bezczynności Aliantów w obliczu zagłady Żydów z całej Europy na terenach okupowanej przez Niemców Polski - samobójstwie Szmula Zygelbojma /12 maja 1943 r./ socjalistycznego /BUND/ członka Londyńskiej Rady Narodowej. Relacja Lanzmanna abstrahuje także od ówczesnej sytuacji społeczeństwa polskiego poddawanego brutalnemu terrorowi niemieckiego okupanta i nie mającego przecież żadnych szans ani możliwości na uratowanie od zagłady większej ilości Żydów.

Oczywiście, racje znajdują się tu po stronie krytyków Lanzmanna wskazujących na nieobiektywizm filmu. Być może twierdzenie, że Lanzmann nie miał prawa robić filmu w sposób tak tendencyjny jest słuszne. Nie wiem - lecz kwestia ta wydaje mi się drugorzędna, Lanzmann bowiem, także gdyby nie był Żydem - miał na pewno prawo do poszukiwania odpowiedzi na pytanie o przyczyny ZAGŁADY. O to jak to się stało, że możliwe było ludobójstwo w takim wymiarze i na taką skalę. I miał prawo odpowiedzi na to pytanie udzielić. I udzielił jej swoim filmem. Brzmi ona następująco /7/ - w swoim wymiarze ogólnym "eksterminacja Żydów była nawet nie tyle rezultatem rasistowskiej doktryny hitleryzmu ile ostateczną konsekwencją antysemityzmu w ogóle, kulminacją rozwoju stosunku do Żydów żyjących w diasporze w ciągu wieków. Formułuje tę tezę w filmie Lanzmanna amerykański profesor Raul Hilberg, autor czterotomowego dzieła o zagładzie Żydów, mówiącego o trzech fazach rozwoju antysemityzmu: pierwsza, że Żydzi nie mają prawa żyć wśród chrześcijan jako Żydzi - stąd: przymusowe nawracanie na chrześcijaństwo. Druga faza - Żydzi nie mają prawa żyć wśród chrześcijan czy aryjczyków - konsekwencja - zamykanie w getcie lub exodus. I trzecia - Żydzi nie mają prawa w ogóle żyć - a więc zagłada. Toteż Hilberg mówi, że w gruncie rzeczy Hitler nie wymyślił niczego nowego, poza organizacją i techniką eksterminacji."

- "w odniesieniu do Polski i Polaków /.../: obozy zagłady zostały zlokalizowane na terenie Polski, ponieważ Polacy byli antysemitami i Niemcy mogli liczyć na milczącą aprobatę swoich poczynań. Dlatego też Niemcy, którzy operację "ostatecznego rozwiązania" utrzymywali w największej tajemnicy przed własnym społeczeństwem oraz przed Zachodem, nie robili z tego tajemnicy przed społeczeństwem polskim. Polacy byli obojętnymi, niewrażliwymi i biernymi świadkami zagłady Żydów, a nieraz nawet się z tego cieszyli."

Szkoda - biorąc pod uwagę wagę pytania a także choćby trud Lanzmanna - ale udzielona przez niego odpowiedź jest fałszywa i to w swoich obu wymiarach. Po pierwsze, tezy prof. Hilberga są dowolnymi konstrukcjami nie mającymi wiele wspólnego z rzeczywistością. ZAGŁADA nie była prostą, logiczną konsekwencją nietolerancji religijnej i rasizmu, jej koniecznymi fazami nie było przymusowe nawracanie na chrześcijaństwo ani zamykanie w gettach lub masowe wysiedlenia. Antysemityzm jest wystarczająco odrażający i nie jest niezbędne mitologizowane go poprzez twierdzenie, że zawsze prowadzi do masowych zbrodni. Można by powiedzieć, że antysemityzm w jakiejś swojej formie istniał "od zawsze", a Żydzi przestali istnieć dopiero, "kiedy zajął się nimi Hitler" /7/. Zbrodnie z antysemityzmu wynikające /pogromy, samosady i morderstwa sądowe w wyniku oskarżeń o morderstwa rytualne/ były zawsze ekstremalnym wypaczeniem, które nigdy, aż do czasów nazizmu, nie zagroziło fizycznemu istnieniu narodu żydowskiego. ZAGŁADA nie była najwyższym stadium antysemityzmu - była jego pogańsko-rasistowskim wynaturzeniem.

Również podane przez Lanzmanna przyczyny wyboru Polski na miejsce zagłady Żydów są fałszywe. W opublikowanej w Bibliotece "ARCHIPELAGU" "Prawdzie nieartystycznej"

Henryk Grynberg - który okupację przeżył w Polsce - formułuje następujące przyczyny wyboru przez Niemców Polski jako miejsca zbrodni:

- największa koncentracja Żydów na niewielkim terytorium;
- izolację Polski wskutek sytuacji wojennej dodatkowo wzmocnioną brakiem kolaborujących z Niemcami autonomicznych polskich władz.

ZAGŁADA nie miała nic wspólnego z polskim antysemityzmem - uważa Grynberg - bowiem "gdyby intensywność antysemityzmu decydowała o zakładaniu obozów zagłady z pewnością nie zabrakłoby ich w Niemczech, Austrii, na Litwie, na Ukrainie, w Rosji, na Łotwie,

77/ Cytujemy sformułowania Jerzego Turowicza z jego artykułu "Shoah" w polskich odcinach zamieszczonego w 45/1898/ nr. "TYGODNIKA POWSZECHNEGO" z dn. 10.XI.1985r.

na Węgrzech, w Słowacji i oświeconej Francji. /8/

Niestety, metoda twórcza polegająca na wykorzystywaniu zgromadzonego olbrzymiego materiału zdjęciowego do ilustracji z góry przyjętej tezy zemściła się na reżyserze. Rezultat jego pracy jest wątpliwy, jest porażką. Porażką - bowiem Lanzmann powiedziawszy nam wiele o ZAGŁADZIE, a przy okazji także wiele niemiłych dla nas prawd o Polakach - nie odpowiedział jednak swoim filmem na najważniejsze pytanie:

JAK TO BYŁO MOŻLIWE???

Żywimy jednak nadzieję, że tytaniczny trud Lanzmanna nie pójdzie na marne, że w zgromadzonym przez niego materiale dokumentalnym - w niewielkim tylko stopniu wykorzystanym w 9 i pół godzinny filmie - zawarta jest jednak prawda o ZAGŁADZIE. I że nadejdzie czas, kiedy materiał ten potraktowany sine ira et studio /obiiektywnie/ prawdę tę ujawni.

Artur WIECZYSTY

/8/ patrz "TVGODNIK NOWOJORSKI" No 3/6/, April 1985 - recenzja Roberta Kostrzewy.

"SHOAH" W MOICH OCZACH

W ubiegłym roku byliśmy świadkami przedziwnego zachowania się Czerwonego. Tym razem dotyczyło ono filmu Claude Lanzmanna "Shoah". Najpierw, gdy jeszcze nikt w kraju filmu nie widział, z właściwą sobie brutalnością zaatakowały go czerwone mass-media, następnie pokazano w TV wybrane jego fragmenty "okraszone" dyskusją starannie dobranego grona, by wreszcie wyświetlić film w całości w jednym z warszawskich kin. Pozostawiając zwolennikom gry na frakcje rozważania, komu zawdzięczamy decyzję pokazania filmu w całości, zajmę się samym dziełem.

Film powstawał jedenaście lat, w ciągu których Claude Lanzmann nakręcił około 350 godzin materiału /w tym mniej więcej 200 w Polsce/, z którego ostatecznie zmontował dziewięć i pół godzinny film.

Na film składają się dziesiątki wywiadów z ocalałymi z zagłady Żydami, ich oprawcami SS-mannami, świadkami - Polakami. Nie przestrzegając zbyt wiernie chronologii wędrujemy po prawie wszystkich miejscach zagłady. /1/ Tej wstrząsającej wędrówce towarzyszą trzy, splecione ze sobą, ale jakościowo różne, strumienie relacji. Pierwszy, to wywiady z Żydami mieszkającymi poza Polską /Izrael, USA, Czechosłowacja, Grecja/ i tam przeprowadzone /do tej grupy zaliczam także relację Szymona Srebrnika, mieszkającego obecnie w Izraelu, którego Lanzmann nakłonił do przyjazdu do Chełmna nad Nerem/.

Drużni, to relacje Polaków, mieszkańców Treblinki, Sobiboru, Oświęcimia, Chełmna, a także przebywającego na emigracji Jana Karskiego.

Trzecim są rozmowy z Niemcami, zarówno czynnymi /SS-mani/ jak i biernymi uczestnikami maszyny zagłady Żydów.

Stosunek Lanzmanna do tych trzech grup rozmówców jest zupełnie różny.

Żydzi są jego braćmi, ofiarami wielkiej tragedii, jaka dotknęła cały naród żydowski. Lanzmann chce, aby dali oni świadectwo zbrodni. Jego pytania mają pogłębić ich relacje, ułatwić opowiadanie o wydarzeniach, w których brali udział i przeżyciach jakich wtedy doznali. Nie ma tu wartościowania, ani ocen - jest drażnienie ogromu zjawiska, z którym większość jego uczestników do dziś nie może się uporać. Lanzmann za pomocą swoich pytań stara się dotrzeć do tych warstw świadomości ofiar zbrodni, które w mozolnym procesie zapominania i przystosowywania się do nowego życia zostały uspięte. Bywają momenty, kiedy metody presji psychicznej jaką wywiera reżyser na swych rozmówców, stają się wręcz brutalne i bezlitosne. Widać to szczególnie wyraźnie w scenie rozmowy z fryzjerem, Abrahamem Bombą, który nie chcąc już mówić dalej, nie mogąc odtwarzać swych bolesnych doznań, żąda wyłączenia kamery; wtedy to Lanzmann, odwołując się do wspólnego im poczucia obowiązku moralnego, zmusza go do kontynuowania relacji.

Polaków traktuje reżyser inaczej, jest wobec nich często agresywny, złośliwy, ironiczny. Umiejętnie konstruuje pytania, "pomaga" mieszkańcom Chełmna i Treblinki zaprezentować ich prymitywny, pełen uprzedzeń stosunek do Żydów. Traktując Polaków z pewną wyższością i pogardą, Lanzmann manipuluje ich emocjami, sugerując im wypowiedzi zgodne z tezą o antysemityzmie Polaków i ich bierności wobec zagłady Żydów, które dokonała się na ich oczach.

/1/ Pominęto w filmie dwa miejsca zagłady Żydów - Majdanek i podwileńskie Ponary. O ile brak drugieję z wymienionych miejscowości można starać się wytłumaczyć, o tyle brak jakiegokolwiek wzmianki o Majdanku wydaje się zagadkowy.

O ile można powiedzieć, że z Polakami Lanzmann walczy, za wszelką cenę chcąc ukazać ich negatywny stosunek do Żydów, o tyle od Niemców nie chce niczego oprócz szczegółów technicznych zbrodni, w której brali udział. Jego stosunek do Niemców jest beznamiętny - nie pyta ich o przeżycia i wrażenia, nie dyskutuje z nimi, nie ocenia postaw.

O ile Polakom daje Lanzmann jeszcze nikłą szansę, o tyle Niemcy są jej od razu pozbawieni; ich wina /wszystkich - SS-manów, urzędnika kolejowego, żony nauczyciela/ jest bezdyskusyjna. Ich zadaniem w filmie Lanzmanna ma być tylko przedstawienie sprawnej organizacji skomplikowanego procesu likwidacji milionów ludzi.

Te trzy, zazębiające się nurty relacji, uzupełnia przewijający się przez cały film, komentarz historyka, prof. Raula Hilberga, autora tezy o trzech etapach rozwoju antysemityzmu. /2/

Film nie jest jednak reportażowym zapisem wywiadów o charakterze archiwalnym, a nabiera wymiaru artystycznego świadectwa zagłady narodu. Dzieje się tak dzięki niezwykłej pracy kamery. Istotne jest, że Lanzmann rezygnuje całkowicie ze zdjęć archiwalnych. Długie najazdy kamery na pomnik w Treblince, nie kończące się składy pociągów towarowych, twarze rozmówców, wnętrza w jakich się znajdują - wszystkie te obrazy nabierają wymowy symbolicznej.

W środkowej partii filmu kamera w kilkuminutowym ujęciu pokazuje makietę drogi śmierci w Oświęcimiu - o rampy kolejowej, przez rozbieralnię, do komory gazowej. Obrazowi towarzyszy relacja Żyda, który pracując w tzw. Komandzie Śmierci był naczelnym świadkiem zagłady tysięcy ludzi. Rzadko zobaczyć można sceny o tak wielkim ładunku ekspresji. W Shoah jest scen takich więcej.

Jako dzieło filmowe "Shoah" w zasadzie nie ma słabych punktów. Powolność narracji, liczne powtórzenia - upodobią go do gigantycznej, monumentalnej kompozycji muzycznej. Lekko zaznaczone motywy powracają w rozbudowanej wersji, zanikają, by pojawić się raz jeszcze w innej konfiguracji. Momenty kulminacyjne, pełne wstrząsającej ekspresji, przedzielone są chwilami ciszy i zamyślenia. Rezultatem jest bardzo skomplikowana, ale czytelna i przejmująca w swej wymowie, kompozycja.

Sposób w jaki Lanzmann konstruuje swoje dzieło, prowadzi rozmowy z ofiarami, oprawcami i świadkami zagłady, świadczy o głębokim poczuciu historycznej misji, jakie odczuwa twórca - misją tą jest ukazanie tragedii narodu żydowskiego.

I tu rodzą się wątpliwości. Lanzmann lansuje bowiem tezę, że obozy zagłady zlokalizowano na terenie Polski głównie z powodu polskiego antysemityzmu. Jest to teza więcej niż wątpliwa; po pierwsze - antysemityzm polski nie był czymś wyjątkowym na tle antysemityzmów innych narodów europejskich, po drugie - ogromna większość historyków jest zgodna co do tego, że Niemcy podejmując decyzję o sposobie i metodach "ostatecznego rozwiązania" problemu żydowskiego kierowali się względami natury ekonomicznej /łatwość "zakatwienia" tego problemu na terenie Polski, ze względu na największe w Europie skupisko Żydów/.

Teza o polskim antysemityzmie jest w filmie na tyle widoczna, że zaburza czystość obrazu i wymowę całości filmu. W tak zamierzonym przedsięwzięciu nie powinny znaleźć odbicia osobiste animozje jego twórcy - niestety tak się nie stało. Przez zbytne wyeksponowanie polskiego wątku Lanzmann osłabia uniwersalną wymowę, którą jego film mógł posiadać.

Mimo tych zastrzeżeń, film Lanzmanna jest dziełem wielkim i myślę, że szczególnie ważnym dla nas - Polaków. Uważam bowiem, że stać się on powinien przyczynkiem do refleksji dla każdego z nas - refleksji dotyczących stosunku do innych ludzi, innych narodowości, w tym narodu żydowskiego.

W Polsce dzisiejszej problem żydowski /po II wojnie światowej i innych, późniejszych wydarzeniach/ w zasadzie nie istnieje. Nie istnieje w sposób widoczny i namacalny. Nie ujmają się w sposób silny postawy skrajnego antysemityzmu - przeciwnie, w niektórych kręgach panuje wręcz moda na filosemityzm. Nie znaczy to, że problemu tego nie ma - on jest, tkwi w naszej ogólnonarodowej /i indywidualnej/ podświadomości. Jest to problem, który mimo "ostatecznego rozwiązania" rozwiązany nie został. Kwestia stosunku Polaków do Żydów, to kwestia wielu pytań. Film Lanzmanna powinien uzmysłwić nam potrzebę postawienia tych pytań.

Stosunek Polaków do innych narodowości przesądzał niejednokrotnie o kierunku rozwoju naszej historii i myślę, że przesądzać będzie dalej. Dopóki problemy związane z naszym nastawieniem do innych narodów /Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, czy Żydów/ nie zostaną rozwiązane w sposób konstruktywny próby formułowania sensownych programów kształtowania przyszłości naszego państwa są /moim zdaniem/ skazane na niepowodzenie.

/2/ wróć artykuł poprzedni w tym numerze

Musimy zdać sobie sprawę, że wielowiekowe uprzedzenia pokutują w nas nadal. Przemieszanie pogardy, z pewnego rodzaju kompleksami niższości i winy, kształtowało stosunek Polaków do Żydów przez długi czas i dlatego teraz jest tak jak jest. A wiemy chyba, że nie jest dobrze /"Shoah" nam o tym przypomina/. Rozgrzeszanie się wspomnieniami na temat wspaniałej /wręcz prayskowiowej/ tolerancji Polaków - to rozgrzeszanie się mitami z zamierzchłej przeszłości.

Film Lanzmanna być może wykrzywia obraz stosunków polsko-żydowskich, ale obraz wykrzywiony też jest jakimś obrazem. Tragedia narodu żydowskiego, która z różnych przyczyn dokonała się na ziemiach polskich, powinna skłonić do dokonania obrachunków sumień. A, powiedzmy sobie otwarcie, nic takiego się nie stało /przynajmniej nie na szerszą skalę/. I to jest moim zdaniem problem istotny, który należy wyeksponować.

Ataki z jakimi spotkał się film Lanzmanna w reżimowej prasie, tylko potwierdzają ten punkt widzenia. Ale od tego trzeba się oderwać i sięgnąć głębiej. Być może dyskusja dopiero się rozpocznie /długi cykl wydawniczy podziemnych publikacji/- czekamy na to.

Należy tylko żałować, że tak niewielu widzów miało możliwość zapoznania się z dziełem Claude Lanzmanna w całości. Film wyświetlany był krótko, w dodatku tuż przed Świętami Bożego Narodzenia /nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, czym jest okres przedświąteczny w Polsce/. Zobaczenie całości wymagało poświęcenia czterech kolejnych wieczorów /film podzielono na 4 ponad dwu i pół godzinne części/. Niektórzy twierdzą /3/, że publiczność nie dopisała. Na projekcjach, w których uczestniczyłem, sala była pełna.

Andrzej OBIEKTYWNY

/3/ Dawid Warszawski "Dlaczego nie poszliśmy na Shoah", "KOS", nr 87, 12 stycznia 1986.

MŁOT NA ŻYDÓW

W opublikowanym w styczniowo-lutowej /nr 37-38 '85/ "NIEPODLEGŁOŚCI" artykule "Polityczny wychodek" pisałem o zjawisku "normografii politycznej" na przykładzie "pracy" Jana Wali "GRABARZE POLSKI". Autor tej elukubracji winę za obecny stan Polski osiągnięty po 40 latach nieustannego rozwoju rozkłada równomiernie - na żydowsko-masono-trockistowską mafię po stronie władzy i na żydowsko-masono- chrześcijańskie i żydowsko-masono-trockistowskie mafie po stronie opozycji. Prawdziwymi patriotami okazują się natomiast narodowi komuniści w rodzaju Kliszki czy Gomułki i ludzie tacy jak gen Berling - no i /w domyśle/ dzielni chłopcy z SB wymienione powyżej mafie zwalczający.

Okazuje się jednak, że "praca" Jana Wali nie jest ostatnim słowem jakie w tym temacie są w stanie wypowiedzieć siły, które "czują i myślą po polsku". Świadczą o tym nadesłane nam przez Czytelników /DZIĘKUJEMY!/ poniższe pozycje: Mieczysława ROSPUDY "JANUSZ ZARŁOCKI - POLITYCZNA SYLWETKA BYŁEGO PRZEZESA PZKS", Krzysztofa TOPIŁOWSKIEGO "NOWY PRZEGLĄD KATOLICKI A MASONIZACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE", Bogusława STUZIŃSKIEGO "WARUNKI POROZUMIENIA NARODU POLSKIEGO" i Macieja Giertycha "O STOSUNKACH POLSKO-ROSYJSKICH DZISIAJ" wydane przez niesygnowane /to samo/ wydawnictwo, w Warszawie w latach 1984-85. Wydawnictwo to specjalizujące się w propagowaniu "wiedzy w zakresie zagrożeń dla Kościoła Chrystusowego i polskich interesów narodowych" /patrz "OD WYDAWCY" u GIERTYCHA i ROSPUDY/ opublikowało ponadto nieznaną nam opracowanie ks. Michała PORADOWSKIEGO "KOŚCIÓŁ OD WEWNĄTRZ ZAGROŻONY" i Pierre'a VIRIONA "CZY JUŻ WNĘTRZ ŚWIATOWY RZĄD, SUPER- I ANTYKOŚCIÓŁ?".

Trzy z powyższych prac - ROSPUDY, TOPIŁOWSKIEGO i STUZIŃSKIEGO /oznaczonych dalej R, T, S/ - przy pierwszym czytaniu sprawiają wrażenie czystej paranoi, manii prześladowczej w stanie klinicznie czystym. Ich autorzy, lub autor, to wnikliwi tropiciele antypolskiego i antykatolickiego spisku Żydów, masonów i ... zamiast cyklistów chciałoby się dodać jezuitów /1/, którzy srenetrowali inteligencję "katolicką" i antytotitarne ugrupowania opozycyjne. To prawdziwe "MŁOTY NA ŻYDÓW" /2/ i "BICZE NA MASO-

717 jezuiti byli pierwszą grupą, jeszcze przed masonami i "Mędrkami Syjonu" oskarżoną o "zamiary podporządkowania sobie całej kuli ziemskiej" patrz Janusz Tazbir "Spiskowe widzenie historii", "MOWIĄ WIEKI" nr 9, 1985, str. 1-6. Dziś zresztą wg. Rospudy "w kampanii wygładzania ścieżek i zacierania różnic między Kościołem a wolnomularstwem prym wiodą jezuiti" /s. 16/.

/2/ "MALLEUS MALEFICIORUM" /MŁOT NA CZAROWNICE/ dzieło niemieckich dominikanów Jakuba Sprengera i Henryka Institorisza przełożone na polski w 1614 r. przez Stanisława Ząbkowica - doktrynalne uzasadnienie obłądu i okrucieństwa - podręcznik katowskiego rzemiosła.

NY" /3/. "... nie zgłaszamy pretensji do wszystkich wolnomularzy" /T. s.2/, "nie interesują nas Żydzi jako naród, czy rasa. Nie jesteśmy antysemitami" i nie damy się zrobić w antysemityzm" /R, s.3/. Antysemityzm, to oczywiście, inspirują przecież Żydzi - przykładowo w połowie lat trzydziestych kapitał żydowski finansował "FALANGĘ" Bolesława Piaseckiego, która za pieniądze łódzkich przemysłowców - Żydów "kompromitowała i rozbiła narodowców, działając w ścisłej łączności z innymi ekspozturami mafii żydowsko-wolnomularskiej" /R, s.1/. Zajmujący się działalnością publiczną Zabłockiego Rospuda nie będzie wyliczał znajdujących się w jego otoczeniu Żydów i wolnomularzy. Kim bowiem ma się otaczać - zapytuje - kierownik agendy mafijnej, której zadaniem jest judaizacja i masonizacja Polski? Kim ma się otaczać agent kosmopolitycznej międzynarodówki, narzędzie w ręku szowinistów żydowskich?" /R, s.10/ Jednak pisząc o sporze między Mazowieckim i Zabłockim elegancko stwierdza - "na pewno weszły w grę względy ambicjonalne: sukcesorzy Bermana /.../ w jaskrawy sposób preferowali Mazowieckiego, może ze względu na bardziej semicki wygląd?" /R, s.6/

Nasi nieantysemita i nieantywolnomularze nie znoszą jednak "typowej żydowskiej chucwy - tej bezprzykładnej bezczelności połączonej z tupetem" /T, s.3/, mierzi ich także "reklama dla /.../ towarzystwa spod znaku masonskiej kielni" /T, s.11/. Przy tym wszystkim są jednak realistami zdając sobie sprawę, że dzisiaj po paruset latach masonizacji /chcieliby się dodać - i semityzacji - uwaga L.M. -/ Polski i Kościoła" /T, s.24/ "czołowe postacie żydowskiej konspiracji w Polsce, wolnomularze wysoko wyspecjalizowani we wszelkich formach dywersji ideowej i politycznej, organizatorzy rewolt, mistrzowie głębokiej infiltracji, doświadczeni wychowawcy wilczą ubieranych w owcze skóry, wrogowie tego, co katolickie" /T, s.26/ są wszechobecni, zwłaszcza w kołach kościelnych. "W Polsce, w Kościele /.../ - bowiem - nie trzeba być już katolikiem aby zajmować miejsce w społeczności wiernych, wystarczy być Żydem lub wolnomularzem - a najlepiej jednym i drugim razem" /T, s.21/. Kościół "przez całe wieki był wychowawcą Narodu", teraz zaś "pod jego auspicjami honoruje się" ludzi, których "stać na posunięcia tak antypolskie, że od nich włos się jeży na głowie nawet przywódcom KOR-u..." /T, s.5/. I teraz tacy właśnie ludzie ku wstydom i irytacji Topikowskiego /s.17/ niosą się przemawiając po kościołach.

Działalność całej plejady Żydów, masonów i szabasgoi /4/ tak różnej maści jak: Jakub i Adolf Bermanowie, Lina Brystygierowa, bracia Goldberg /Borejsza i Różański/ Józef Swatko, Bolesław Piasecki - "stary agent Puławian" /R, s.1/ i "wytrawny prowokator" /R, s.3/, który "choć faszysta i najskrajniejszy antysemita wykazuje perwersyjne upodobanie otaczając się Żydami i osobami pochodzenia żydowskiego" /R, s.2/, Stefan Kisielewski, Leopold Tyrmand, Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Turowicz - "katolik od Bermana" /R, s.9/, Janusz Wieczorek, Adam Schaff, Ryszard Reiff, Janusz Zabłocki - protegowany Kani i narzędzie "konspiracji antypolskiej stworzonej przez Bermana" /R, s.3/, Jerzy Zawieyski, Stanisław Stomma, Andrzej Wielowieyski, Stanisław Kania, mecenas Wiesław Chrzanowski - "arcymason" /R, s.10/, opiekun KOR-u z ramienia masonerii i działacz "Solidarności", chyba ważniejszy od Bronisława Garemka /T, s.9/, Bronisław Garemek, mecenas Jan Olszewski, Karol Makuczyński, Ryszard Bugaj, Stanisław Kurowski, Czesław Bobrowski, Andrzej Grzegorzczak, Aleksander Gieysztor - należący "do przywódców sekty masonskiej", a tym samym do grona nieprzejednanych wrogów Kościoła i wrogów Polski" /T, s.13/, Bohdan Suchodolski, Józef Cyrankiewicz, Mieczysław Jagielski, Żonna Komonowa, Eugeniusz Szyr, Andrzej Werblan, Józef Klasa, Stefan Staszewski, Stefan Żółkiewski, Andrzej Nałęcz-Jawecki "który swym szmatkowym "VE-TO" demoralizuje społeczeństwo tak, jak tylko Żyd potrafi" /R, s.13/, Krzysztof Kozłowski, Jerzy Urban, Adam Michnik - "żydowski trockista" /T, s.17/, Jacek Kuron, Seweryn Blumsztajn, Ryszard Bender, Czesław Miłosz - "notoryczny wolnomularz" /T, s.3/, Andrzej Kijowski, Ernest Skalski, Jerzy Mikke, Olgierd Budrewicz, Aleksander i Eugeniusz Smolarowie - bracia będący "nie tylko syjonistami, ale i pełnymi agentami obcych wywiadów", specjalizujący się "w zwalczaniu polskiego antysemityzmu" /T, s.20/, Wacław Karwiński, Andrzej Micewski - przyjaciel "krwawej Luni" /Brystygierowej - L.M./ /T, s.25/, Jan Józef Lipski, Antoni Stonimski - wysoki specjalista od "organizowania rewolt", "żydowski mafioso" /T, s.17/, Jan Józef Szczepański, Władysław Bartoszewski - "notoryczny rozwodnik i wolnomularz", który "przez żydowskie szekaczki na Zachodzie oproteozuje Powstanie /Warszawskie - L.M./ i jego autorów" /T, s.13/, Zdzisław Najder, Janusz Bogucki, Teresa Bogucka, ks. Kornikowicz, ks. Ziaja, Andrzej Szczypliński, Henryk Samsonowicz - "obrońca marcowych Żydów" /5/ /R, s. 10/,

/4/ nazwiska wynotowane jak leci z "recenzowanych" prac

/5/ do tej pory słyszeliśmy jedynie o "marcowych docentach"

/3/ "FLAGELLUM DAEMONUM" /"BICZ NA DEMONY"/ - dzieło podobnej proveniencji co "MŁOT NA CZAROWNICE".

Andrzej Świącicki jest "prowokacja - prowokacją wobec katolików i wobec Polaków" /T,s.12/, której ukrytymi celami /6/ są:

- "judaizacja i masonizacja Kościoła, która dziś przybrała już rozmiary przerażające" /R,s.19/;

- "swiski" i "mafijne manipulacje ogłupionym społeczeństwem" godzące w "podstawowe interesy Kraju, w którym żyjemy, Narodu, którego jesteśmy częścią" /R,s.3/.

"Wrzask żydowskich propagandystów: nie ma spisków nie zmieni faktu, że historia PRL jest jednym pasmem spisków: rok 1956, 1968, 1970, 1980, 1981, 1984 - czy nie są to owoce mafijnych knowań?" /R,s.3/. "Generalna rewolta jaka się rozpoczęła w Polsce w sierpniu 1980 r. była przygotowywana niezwykle starannie i od wielu lat: jej początki sięgają roku 1956" /R,s.7/"ponrzez rewoltę marcową" /R,s.7/ - próbę "żydowskiego przewrotu, która stanowiła preludium do Sierpnia 1980r. i tego co potem nastąpiło" /T,s.17/ i inspirowaną i przygotowaną przez "wysokiej klasy" specjalistę od takiej roboty - Antoniego Słonimskiego.

Przygotowała tę rewoltę - pisze Topiłowski - i dalej ją prowadzi opozycja, "która działała i działa w Polsce, ale która nie była i nie jest polską", która "posiada mandat nietykalności /.../ usilnie współdziałała w doprowadzeniu kraju do ruiny /.../ mając Polaków pięknymi słówkami, jednocześnie wysługuje się międzynarodowemu żydostwu i mocarstwom zachodnim z USA i RFN na czele"; której korowskie kierownictwo składa się z "Żydów i nielicznego grona szabesgoi" ponieważ trudno "było znaleźć dostatecznie pewnych i bez skrupułów Polaków do brudnej roboty - wyprzedawania interesów Polski" /T,s.17/.

Spisek zresztą był już u samego początku. Powstanie tzw. Rządu Jedności Narodowej w Moskwie w 1945 r. - to wynik spisku Żydów i masonów. "Owszem, później byli i komuniści - przyznaje Rospuda - dla okraszy, jak kwiatek - czerwony goździk na masonskim kożuchu" /s.12/. Od samego początku także potworzono różne kuźnie "antypolskiej roboty" w których "intensywnie szkolono syjonistów, wolnomularzy, komandosów i korowców" /R,s.5/, poprzez wykorzystanie prasy, radia i telewizji do gloryfikacji "wolnomularzy - nawet zacieklej antykomunistów" /R,s.9/.

Trzeba jednak przyznać, że autor jest sprawiedliwy, a dla korowców wręcz dobrotliwy. "Członkowie KORu nie byli decydentami, tymczasem kryzys, który tak dramatycznie ujawnił się w połowie roku 1980, był wynikiem setek i tysięcy decyzji politycznych, gospodarczych i społecznych, które razem utworzyły złożony mechanizm sprzężeń zwrotnych i współzależności i razem uruchomiły reakcję lawinową. Trzeba naiwności małego dziecka - pisze Rospuda - by uwierzyć, że były one przypadkowe. Autorów tych decyzji trzeba szukać nie wśród korowców, ale gdzieś w okolicy towarzysza Werblana" /s.8/ Któż więc zniszczył nasz kraj? "Każdy naokoło siebie znajdzie dostateczną ilość przykładów pokazujących, kto niszczy nasz kraj - odpowiada. I każdy może

767 Jakby przy okazji autorzy informują nas o takich żydowskich i masonskich sprawkach jak:

- oxfordzkie spotkanie "wierchówki" światowego żydostwa poświęcone omówieniu sytuacji w Polsce i mafijnej strategii na najbliższy okres" - odbyłym pod pretekstem sympozjum omawiającego stosunki polsko-żydowskie /T,s.13/;

- największej zbrodni w dziejach Polski - wyniku "masonskiego spisku" - Powstaniu Warszawskim /T,s.13/;

- doradzaniu "Solidarności" przez "przez braci mecenasów" - Jana Olszewskiego i Wiesława Chrzanowskiego, konkurujących skutecznie, dzięki swej wysokiej pozycji w hierarchii wolnomularskiej z resztą doradców, choć ci "mieli nad nimi tę przewagę, że niemal bez wyjątku rekrutowali się spośród synów Syjonu" /T,s.10/;

- publiczne odmówienie w Katedrze św. Jana w Warszawie przez ks. Jana Ziębę modlitwy "za braci Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, którą ułożył żydowski mafioso Antoni Słonimski", a którą zatwierdzono na "posiedzeniu wierchówki masonskiej w Nieborowie" /T,s.17/;

- lansowanie "z gorliwością godną lepszej sprawy" postaci Józefa Piłsudskiego "twórcy Legionów, człowieka, który budzi dosyć zastrzeżeń nie tylko w aspekcie katolickim..." /T,s.23/;

- "pomysł z polskimi noblistami", który "mógł wypalić i dać oczekiwane rezultaty tylko dlatego, że dziś się już nie pamięta, kto układa listy laureatów Nobla i komu są te nagrody przyznawane. Tylko dzięki jakiemś niezwykłemu ogłupieniu społeczeństwo polskie nie zrozumiało, że po przyznaniu nagrody pokojowej Beginowi - żydowskiemu naziście i zbrodniarzowi, przyznanie takiej samej nagrody Polakowi, choćby to był Wałęsa, jest drwiną i policzkiem" /T,s.5/.

- itp.

zobaczyć, że nie są nimi polscy komuniści, tak samo jak nie byli nimi polscy narodowcy, czy polscy ludowcy"/R, s.13/. Są to natomiast Żydzi i wolnomularze. Przy czym "nie jest ważna ilość Żydów, ważne jest to, że Żydzi w życiu politycznym i gospodarczym, w nauce i w wojsku, w prasie, radiu i telewizji, w wydawnictwach - wszędzie - tworzą o r g a n i z a c j ę - sieć konspiracyjną, która popiera własnych ludzi i realizuje własne interesy, sieć, która kieruje agenturami mafijnymi, demoralizującymi ludzi, przekształcającymi ich w posłuszne narzędzia w rękach żydowskich. Ta konspiracja żydowska, sterowana przez międzynarodowe centrale dąwi życie społeczne, jak żelazny pierścień, niszczy substancję narodu, zamyka perspektywy zmian na lepsze"/R, s.12/. Pomagają w tym Żydom wolnomularze, "ale nawet ci zdrajcy sprzedający - najczęściej dla kariery - własny naród przez dziesięciolecia judaizowani, wynaradawiani kosmopolityzmem, nie są dostatecznie pewni, bo żydostwo nieodmiennie w swych siatkach mafijnych, we wszystkich spiskach i knowaniach, kluczowe stanowiska obsadza przedstawicielami narodu wybranego", stąd "we wszystkich KOR-ach, DIP-ach, KIK-ach i PPN-ach jest tyłu Żydów"/R, s.13/ i dlatego do prawdziwej elity wolnomularstwa "na-leżą ci co mogą się poszczycić dobrym żydowskim pochodzeniem"/T, s.10/ choć "w konspiracjach tych biorą udział również Polacy - wychowywani i judaizowani przez całe lata w mafijnych konwentyklach/.../.

Cóż w tej sytuacji robić, jak zwalczać rozległą, rozgałęzioną i podstępą antypolską żydomasońską konspirację? Na to pytanie odpowiada w swoich "WARUNKACH POROZUMIENIA NARODU POLSKIEGO" Bogusław STUZIŃSKI zarysowując program takiej walki. Postuluje on:

1. Weryfikację Żydów polskich co do ich patriotyzmu i przydatności dla Polski.
2. Wyeliminowanie negatywnie zweryfikowanych Żydów i filosemitów z życia politycznego, społecznego i gospodarczego Kraju poprzez praktyczne pozbawienie ich praw obywatelskich /7/.

3. Doprowadzenie do masowego eksodusu negatywnie zweryfikowanych Żydów /wg. Stuzińskiego ok. 70%/, co przyniosłoby Narodowi Polskiemu ewidentne korzyści tj.:

- wyeliminowanie części opozycji /antypolskiej/,
- obciążenie wyjeżdżających znaczną częścią długów - długi zaciągali Żydzi od Żydów na żydowskie cele, nie ma więc powodu, by płacili je Polacy,
- wpływy finansowe związane ze zgodą na emigrację Żydów.

Pozostaje jeszcze otwarta tylko jedna kwestia: kto postulaty Stuzińskiego wprowadzi w życie? W programie jest także na to odpowiedź: Polska Partia Katolicka! /Stuziński nie liczy na komunistów, zapewne opierając się na ich ponad czterdziestoletniej indolencji w tym temacie/. Partia rekrutująca się ze wizerowych moralnie Polaków i katolików, a dysponująca w sejmie 40% mandatów - reszta tj. 60% pozostaje dla marksistów. Pięknie. Tylko co to wszystko ma wspólnego z katolicyzmem i moralnością?

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Tak toczy się ten antysemitowski świątek. Jeden paranoiczny argument goni drugi paranoiczny argument, i trzeci, i tak w nieskończoność. Ten paranoiczny antysemityzm wydaje się być tak klinicznie czystym, że aż bezinteresownym. To jednak tylko pozór. Zwłaszcza jeśli się pamięta, że publikacje Rospudy, Topiłowskiego, Stuzińskiego, Giertycha czy Wali są wobec siebie komplementarne. Toteż traktowanie ich jako całość wydaje się całkowicie zasadne. Dopiero wtedy cele polityczne jakie stawiają sobie anonimowe wydawnictwo i współpracujący z nim publicyści stają się w pełni oczywiste. Temu zagadnieniu poświęcimy następny artykuł. Tu zaś chcielibyśmy zwrócić uwagę na pozapolityczne - w węższym rozumieniu słowa polityki - aspekty paranoicznego antysemityzmu:

1. Złoty wiek w historii i kulturze, prężność cywilizacyjna społeczeństwa wiążą się - to prawie zawsze reguła - z pluralizmem politycznym, ideowym i społecznym, z przekonaniem, że "różnorodność to bogactwo" /8/, z otwartością na obcych i na obce wpływy. Dotyczy to zarówno starożytnych Aten, Polski Jagiellonów, Francji i Anglii z la Belle Epoque, jak i dwudziestowiecznych Stanów Zjednoczonych czy Japonii. Dobra kondycja społeczeństwa i korzystne perspektywy na przyszłość ułatwiają lub nawet umożliwiają otwarcie na wartości obce, ich wchłanianie, przyswajanie i przetwarzanie - co w efekcie wzbogaca własną kulturę. I odwrotnie - kryzys cywilizacyjny, polityczny i gospodarczy budzi niepewność, ksenofobię, wytwarzając mentalność obłąkanej twierdzy, powodując zasklepienie się w wartościach własnych, odrzucaniu zaś cudzych.

To nawet zrozumiałe. Zagrożeniem są inni - obcy. Trzeba więc z nimi walczyć, de-

/7/ proponuje to były uczestnik "RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA"

/8/ sformułowanie Jana Pawła II - patrz "Pielgrzymka do Indii", "PRZEGLĄD KATOLIČKI" nr 8/88, Warszawa, 23.II.1986, str. 4

maskować ich podstępne machinacje. Jest to jednak wniosek z gruntu fałszywy. Ksenofobia, prymitywny nacjonalizm i zaściankowy tradycjonalizm nie są żadną receptą na przyszłość - ba, w przewyciężeniu trudności skutecznie przeszkadzają.

2. Konflikt polsko-żydowski to wynik wieloletniego współżycia społeczeństwa polskiego z silną ekonomicznie, chroniącą swoją odrębność religijną, kulturalną, językową, etniczną i gospodarczą, nie asymilującą się mniejszością żydowską. Za konflikt ten winę ponoszą obie strony. Być może nierównomierną. Może jedna z nich większą? Kwestia ta wymaga jednak przede wszystkim uczciwych badań historycznych i socjologicznych prowadzonych "sine ira et studio", konfrontacji różnych punktów widzenia i dyskusji. Ponieważ jednak w sytuacji istnienia wściekłej, paranoicznej propagandy antysemitycznej, każdy głos krytyczny o zachowaniu się czy to całej mniejszości żydowskiej, czy jej indywidualnych przedstawicieli, kojarzy się z antysemityzmem i jakaś szersza dyskusja staje się niemożliwa.

3. Wizja życia społecznego, filozofia polityczna, historiozofia prezentowana przez wyżej omówionych autorów wydają się:

- "antypolskie" bo obraźliwe dla Polaków. Naród polski, wg. nich to bezmyślna, prymitywna, kierująca się emocjami i łatwa do manipulacji masa, owozym pędem idąca na lep każdej antypolskiej prowokacji,

- zadziwiająco wręcz zbieżne z wizją świata przedstawianą w "ŻOŁNIERZU WOLNOŚCI", "PERSEKTYWACH", "POLITYCE", "DZIENNIKU TELEWIZYJNYM", w publicystyce Małczyńskiego i Rema-Urbana, czy na trochę innym poziomie w przemówieniach Generała. Są oczywiście pewne różnice. Czerwoni nie oskarżają o wszystkie polskie klęski Żydów, masonów i szabasgojów - syjoniści jednak są już wspólnym wynalazkiem - to jednak ich widzenie polityki jest praktycznie identyczne. Przeciwnicy socjalizmu w Polsce, opozycjoniści, obrońcy praw człowieka w Kraju i Zagranicą, Wolni Związkowcy, Wolne Rozgłoszenie, bankierzy i rządy zachodnie - wszyscy oni są uczestnikami gigantycznego, antypolskiego spisku. Po prostu zarówno jedni/"Młoty na Żydy"/ jak i drudzy/"Czerwoni"/ posiadli absolutną prawdę, prawdę tak oczywistą, że do jej akceptacji wystarczy odrobina dobrej woli. Ci więc, którzy tę prawdę odrzucają, czynią to z jakichś niecznych pobudek. I stąd już tylko krok do sugerowania, że pobudki te są materialne. Ten styl myślenia u Czerwonych nie dziwi. Sami byli od zawsze, są obecnie i w dającej się przewidzieć przyszłości będą obcą agenturą, bez skrupułów wysługującą się mocodawcy - nie przychodzi więc komunistom na myśl, że można działać z przyczyn innych niż merkantylne. Ale jaki kompleks kompensują sobie siły prawdziwie narodowe???

Chyba, że jest to świadome odwoływanie się do tego co w ludziach prymitywne, oferowanie na nozór logicznych a faktycznie magicznych formułek chwytliwie tłumaczących całe skomplikowanie otaczającego nas świata. Odwoływanie się w żadnym aspekcie nie bezinteresowne, jego bowiem celem jest zakatwienie przy okazji swoich interesów politycznych /o czym w następnym artykule/.

Mamy nadzieję - doświadczenie ostatnich lat nas w niej utwierdza - że mimo wszystko, społeczeństwo polskie nie da sobie macić w głowie politycznym szarlatanom w rodzaju Wali, Rospudy, Topiłowskiego czy Studzińskiego, tak jak już od pewnego czasu nie daje się za nos wodzić równie prymitywnym propagandyście komunistycznym.

Leon MULARCZYK

/faktycznie Lejb ROSENSZWANTZ z domu Masoner/

.....

P O C Z T A D O I O D R E D A K C J I :

...MOGŁO BYĆ GORZEJ...

KOCHANA REDAKCJO!

Niedługo kwiecień /wiosna, nareszcie!/ i - o czym nie należy zapominać 43 rocznica Powstania w Getcie Warszawskim. Mam więc nadzieję, że mój list dostosuje się do kwietniowej aury. Bo ja o Żydach. Może nie całkiem o Żydach, lecz w każdym razie w związku z nimi.

12 XII 85 r. odbyło się w warszawskim KIK-u spotkanie poświęcone filmowi "Shoah". Od grudnia ułdynęło już trochę czasu, ale muszę o tym spotkaniu napisać. Szczerze mówiąc, do dziś jestem chory, gdy o nim myślę.

Najpierw słów kilka o prelegentach. Byli nimi: Ojciec Jacek Salij OP i Paweł Śpiwak, historyk myśli społecznej. Ojciec Salij mówił o ogromnym wrażeniu jakie wywarł na nim zapis tekstów filmu, a potem o historii stosunków Watykan-Żydzi /bardzo ciekawe,

wiele nieznanymi mi faktów/. Następnie polemizował z jedną z tez filmu, jakoby antysemityzm, występujący w hitleryzmie w swej skrajnej postaci, miał źródło w kulturze chrześcijańskiej. Uzasadniał pogląd, iż hitleryzm kierował się przeciwko całej tradycji judeochrześcijańskiej. Próbował także odpowiedzieć na owo sławetne pytanie "Czy Żydzi zabili Chrystusa?" Ta część wypowiedzi Ojca Salija była wyjątkowo piękna. Ojciec Salij omówił całą sprawę w sposób bardzo prosty i przejmujący. Drugi prelegent, Paweł Śpiewak, zajmował się głównie różnymi formami antysemityzmu w ujęciu historycznym. Nie będę przedłużać opisu pierwszej części spotkania, powiem tylko, że zarówno Ojciec Salij jak i Paweł Śpiewak powiedzieli dużo ciekawych i mądrych rzeczy. Jestem im za to głęboko wdzięczny.

Ale potem nastąpiła dyskusja. I o niej przede wszystkim chcę opowiedzieć. Dwie uwagi na wstępie: ja bardzo cenię KIK i nie posiadamy się z radości, że on jest. Spędziłem tam wiele wspaniałych chwil. W ogóle jestem za. Uwaga nr 2: większość zebranych nie znała filmu, a tylko składankę pokazaną w TV. /W czasie, gdy zaplanowano dyskusję, nie wiadomo było jeszcze, kiedy "Shoah" wyświetlany będzie w kinach/. Uwaga dodatkowa: ja widziałem film.

Dyskusja, siłą rzeczy, była mieszaniną różnych tematów - mówiono o filmie, o Żydach, o antysemityzmie. Głównie jednak o Żydach, oczywiście. Oto Pan nr 1: opowiada o wystawie fotograficznej Tomaszewskiego pt. "Ostatni" - bardzo ładnie, potem o zdarzających się niekiedy niesympatycznych wpisach w księdze pamiątkowej. No cóż, godna pochwały troska. I zakończenie: w nawiązaniu do słów Pawła Śpiewaka o antysemityzmie hitlerowskim miły pan stwierdza, iż Żydzi rzeczywiście dawali świadectwo zezwierzęcenia, bo własnymi rękami /policja żydowska/ mordowali swój naród... Słyszający to pan prowadzący dyskusję był chyba poruszony nie mniej ode mnie. Zachował jednak zimną krew i rzekł po prostu, iż w nieludzkich sytuacjach ludzie często stają się nieludźcy. Co rozwinął. Odetchnąłem, z trudem pokonując chęć zapytania dyskusjanta o naszą, swojską milicję. Dlaczegoż to "pszenni, rdzenni Lechici" /cytat z W. Bartoszewskiego/ w niebieskich mundurach bywają, powiedzmy, niemili do tego stopnia, że lepiej ich nie spotykać na swej drodze nawet w biały dzień. Nie grozi im przy tym utrata życia za odmowę wykonania tego czy owego. Milicja - Mój Boże...

Co było dalej... A więc klasyczny staruszek dyskusyjny, który wielkim głosem rozpoczął od stwierdzenia, że aby zniszczyć zło i nienawiść w świecie, należy zacząć od własnej duszy - a skończył niezwykle odkrywczymi wywodami o złośliwej roli Talmudu w historii świata /środek do zwalczania gojów, ewentualnie władania nimi/. Staruszkę przytaczam jako curiosum, o staruszkę nie mam pretensji, to niezniszczalny staruszek dyskusyjny, zawsze obecny, trudny. Ale inni! Jakis prawnik, który wrócił do pytania "Czy Żydzi zabili Chrystusa?" Tu muszę dodać, że Ojciec Salij stwierdził wcześniej, iż pytanie to może mieć sens wyłącznie z punktu widzenia religijnego, bowiem historycznie rzecz ujmując, zabicie niewinnego człowieka to sprawa wręcz banalna. Otóż ten prawnik orzekł, iż dla niego jako prawnika, fakt zabicia niewinnego człowieka nie jest sprawą banalną. Po czym kontynuował w starym dobrym stylu, ale nie pamiętam już wiele, bo humanistyczna postawa tego pana wstrząsnęła mną do głębi. Myślę, że i Ojciec Salij zrozumiał nareszcie, iż zabijanie - to po prostu grube świństwo. Było jeszcze dużo innych głosów - pytania o to, co Lanzmann powiedział w filmie o Żydach w Niemczech, o to czy było coś o Petainie. Była próba, całkiem sympatyczna, bo jakaś taka szczerą, zagłębienia się w skomplikowaną i beznadziejną sferę konfliktów o podłożu ekonomicznym. Chcę oddać zebrany sprawiedliwość /tym bardziej, że opis mój, siłą rzeczy, jest tylko skrótem i wiele rzeczy upraszcza/ - zdarzają się normalne, rozsądne głosy. Np. studentki etnografii, która mówiła o badaniach stereotypu Żyda w wyobrażeniach Polaków i odwrotnie. Stwierdziła ciekawy i w istocie chyba bardzo prawdziwy fakt wielkiej wzajemnej Polaków i Żydów nieznanności, mimo tylu wieków życia obok siebie. Nieznajomości, zawinionej przez obie strony. Studentka jednak została zakrzykana przez publiczność, gdy śmiała tknąć "talmudycznego" staruszkę. /Talmud, rzecz jasna, znał on tylko z cytatów/. Ogólna atmosfera w czasie wystąpienia tej dziewczyny była mniej więcej taka: dzieciśno, młoda jesteś, nie znasz się i nie wiesz, co to naprawdę są Żydzi. A oni to ho, ho, ho... wiadomo! Ton - coś jak Ochab do Toruńskiej w "Ornych". Z wybuchami śmiechu itd. Zna tych różnych pokrzykiwań wyłaniał się obraz Żyda - oszukującego kramarza, Żyda - ubeka, Żyda, który Rządzi Światem. A jednocześnie ci sami ludzie mówili wcześniej, że Lanzmann w filmie pokazał osobników prymitywnych, którzy nie mogą przecież reprezentować wszystkich Polaków, itd, itd. Ja odniosłem wrażenie, że wypowiedzi "prostaczków" niewiele się różniły od niektórych w KIK-u. Różnica, owszem, była - w języku. Zaś szczerze mówiąc, tamci prości ludzie bywali po prostu wrażliwsi. Siedziałem sobie spokojnie i czekałem tylko, kiedy ktoś wreszcie wyciągnie te "Protokoły"... Ujmując rzecz krótko,

można stwierdzić, że z sali ziało wręcz chrześcijańską miłością bliźniego. I nic dziwnego, w końcu mieliśmy do czynienia z elitą katolicką stolicy.

Znów nie chcę przesadzać - była jakaś dziewczyna, która próbowała chyba powiedzieć, że jest zdumiona tą dyskusją, parę osób wyszło. Ja dotrwałem do końca, współczując gorąco prelegentom. Czy mam pisać, co czułem? Może mój, powiedzmy... niesmak byłby mniejszy, gdyby nie fakt, że byłem pod świecym wrażeniem filmu. Choć zgadzam się na ogół z uwagami p. Jerzego Turowicza o "Shoah", jednak to co myślę o filmie, oddaje najlepiej recenzja p. Tadeusza Szmy /także "Tygodnik Powszechny"/. Nie będę się więc nad tym rozwodzić. Ufam, że gdyby zebrani widzieli całe dzieło Lanzmanna, ich wypowiedzi byłyby jednak nieco inne. Bo kiedy ogląda się "Shoah", po prostu zapomina się o jego niedostatkach. Zapomina się o wszystkim. Także o sobie, tzn. o Polakach i całym problemie polsko-żydowskich stosunków. Jest tylko Zagłada. I na tym tle owe uwagi: czy o nas było dobrze? Czy było o Francuzach? itd. itd. - po prostu znikają. Tu zaś, na tej sali, czułem się jak nad grobem zamordowanego, nad którym znajomi stwierdzają z minami poprawnie skrzywionymi: "Smutne, doprawdy smutne, ale jakież to swoją drogą był okropny ty!" I to wieczne, nie wiadomo skąd płynące poczucie wyższości, zapatrzenie w siebie i licytowanie krzywd... Dawka zadowolenia z siebie i przekonania o tym, że "myśmy zawsze byli w porządku" - a to po prostu biło z sali - to mogło przyprowadzić o skręt kiszek. I brak zwykłego, ludzkiego ciepła w słowach. Mówili tak, jakby Nic Się Nie Stało. Jakby Oni jeszcze z nami byli, jakby czekali za węglem uliczki, aby nas oszukać w swoim sklepie, owionawszy przy tym sławetnym zapachem czosnku. A tymczasem zdaje się, że coś się przecież stało. Ich przecież nie ma. I nie będzie już nigdy Żydów polskich, tej specyficznej części całego narodu wybranego... Pewnie też już wkrótce doszczętnie obrzudzimy życie niedobitkom, tym, którzy tu zostali. Będziemy wreszcie rasowo czysti - bez Żydów, Litwinów, Kaszubów, Ukraińców i wszystkich tych kłopotliwych mniejszości. Po prostu raj. Zdaje się, że już ktoś kiedyś o tym marzył.*

Jest w człowieku coś takiego, że nie może zbyt długo wpatrywać się w rzeczy nazbyt straszne. Pisze gdzieś o tym Miłosz, chyba w "Nieobjętej Ziemi". Zapatrzenie w wielkie zło paraliżuje, instynkt życia zmusza do oswajania niepojętego i zapomnienia, choć trochę. I w tym przegadaniu, wyciąganiu spraw nieistotnych, istotnych i bardzo ważnych, lecz pomijaniu najważniejszych, było coś z takiej ucieczki. Ale było także, głęboko ukryte - nieczyste sumienie. Nikt mi nie wytłumaczy, że nie. Było, było, ale tak trudno się do tego przyznać.

Nieobecni nie mają racji. Szkoda jednak, że nie mogli spojrzeć nam w oczy. O, gdyby mogli! Gdyby stanęli przed nami wszyscy szowcy, krawcy, oszukujący na wadze sklepikarze, gromady woniejących cebulą chasydów, kamienicznicy, sprytni arendarze, kłótlivi kobiety w perukach i z gromadami pejsatych dzieci, karczmarze, lekarze, handlarze starzyzną i bogacze, woci i śpewacy, piękne dziewczyny i chłopcy, brodaci rabini i złodzieje... Gdyby stanęli i spojrzeli nam w oczy. Nam, aniołom w ludzkiej postaci. /mam nadzieję, że wybaczycie mi tę odrobinę egzaltacji! /

Nie staną jednak. A tych paru moich znajomych, młodych Żydów, którzy byli w KIK-u, milczało. To właśnie jeden z nich pocieszał mnie później, mówiąc: nie martw się, mogło być gorzej. I tak wiadomo, że zawsze są wszystkiemu winni. Choćby ich nie było. Nawet masoni nie wytrzymują konkurencji.

Kochani - przecież to nie tylko stare, swojskie duchy endecji. To przede wszystkim sowietyzacja. W tej dziedzinie dziwnie łatwo jej ulegamy.

Ale ciągle mam jeszcze nadzieję. Nadzieję, że zaczniemy wreszcie myśleć naprawdę samodzielnie. Przecież to się ostanio zdarza. Więc mam nadzieję. Inaczej byłoby naprawdę smutno.

Żydoman

* Polecam wspaniały wywiad ze Zbigniewem Herbertem w 14 numerze "Kultury Niezależnej". Także o tym.

W P O S Z U K I W A N I U P R Z Y M I E R Z A

CZEŚCI NIE WIDZĄ WYJŚCIA

przedruk: "KONTAKT" nr 6, czerwiec '85, ciąg dalszy wywiadu Józefa Barskiego z Alekssem Tomskim - "N" nr 50.

K.: Kto i kiedy wysunął hasło niepodległości Czech?

A.T.: T.G. Masaryk i grupa działaczy skupiona wokół niego wysunęła to hasło w latach 1915-16. Do tego momentu Masaryk zawsze działał w parlamencie austriackim jako reformista.

K.: W tej pierwszej wersji miała to być niepodległość Czechosłowacji?

A.T.: Miała to być niepodległość Czechosłowacji, ale do porozumienia ze Słowakami doszło dopiero w czasie I wojny światowej. Tendencje takie istniały, gdyż Słowacy pod względem językowym są bliscy Czechom i bardzo cierpieli pod uciskiem Węgrów. Owo zbliżenie i utworzenie wspólnego państwa było dosyć naturalne. Dopiero wspólne doświadczenia spowodowały duże różnice i nieporozumienia, dlatego że nastawienie Czechów do Słowaków było jednak imperialistyczne i bardzo nietaktowne, ponieważ wysyłano np. progresistów-niekatolików na Słowację. Jeżeli posłano by katolików z Moraw, na pewno nie doszłoby do takiego strasznego zatargu. Progresiści patrzyli na Słowaków-katolików jak na ludzi ciemnych, a zostawiali ich nauczycielami i mieli ich oświecać. Ale są to już stare sprawy.

K.: Mnie jednak interesują.

A.T.: Ale może powinniśmy powrócić do polityki.

K.: Zaraz wrócimy, chciałbym mimo wszystko wiedzieć, jakie Pan widzi przyczyny powstania wspólnego państwa czecho-słowackiego?

A.T.: Nie jestem historykiem, ale chyba swoją rolę odegrała przede wszystkim bliskość etniczna i językowa. Do słowackiej emancypacji narodowej doszło stosunkowo późno, dopiero w XIX wieku. Słowacy jako mały naród czuli się zagrożeni przez Węgrów lub Ukraińców, w Czechach widzieli więc naturalnych sojuszników. Prawdopodobnie słowacy protestanci stanowili bardzo aktywną część opozycji w czasie I wojny światowej, co ich zbliżyło do Czechów.

K.: Jeszcze Kollar próbował stworzyć ideę jednego narodu.

A.T.: Idea I Republiki była ideą jednego narodu o dwu językach. Oficjalnie nauczano "czechosłowackiego", chociaż taki język nie istniał. Ale idea mówiła o jednym narodzie i, jak wiadomo z późniejszych doświadczeń, była błędna.

K.: Czy Czesi uważali, że oba narody stopią się we wspólnym państwie?

A.T.: Trudno powiedzieć. Jedni na pewno tak myśleli, inni sądzili, że owa odrębność językowa nie odgrywa żadnej roli. Jest to pomyłka, którą do dziś Czesi popełniają bardzo często, gdyż nie rozumieją, że pokrewieństwo językowe Słowaków nie zbliża ich jeszcze do Czechów. Istnieje bowiem coś takiego jak tożsamość, kultura, odrębne patrzenie na świat, światopogląd, który na Słowacji został uformowany przez katolicyzm, mimo że tam protestantów było więcej niż w Czechach. Oto kolejny paradoks; większość protestantów żyje dzisiaj na Słowacji.

K.: A jaki jest aktualnie stosunek Czechów do Słowaków? Sam spotkałem się ze zdaniem, że Słowacy to mały naród, więc ich niepodległość byłaby rzeczą śmieszną.

A.T.: Tak, taki jest ogólny stosunek Czechów. Jest to coś, czego Czesi nie rozumieją. Zdają sobie sprawę, że Słowacy w pewnym sensie górują dzisiaj w Czechosłowacji poprzez Słowacką Partię Komunistyczną, bowiem partia czechosłowacka, przemysł, itp. opanowane są niewątpliwie przez Słowaków i istnieje powszechna niechęć do nich. Stwarza to animozje, które idą bardzo na rękę Sowieta.

K.: Ale jednocześnie Słowacy skarżą się, że na Morawach są czechizowani, nie mają szkół z językiem słowackim, itp.

A.T.: Tak, nie mają. Istnieje federalizacja i Czesi na Słowacji są słowakizowani, a Słowacy w Czechach - czechizowani, tylko że do Czech, jak się teraz mówi "przyjeżdża" więcej Słowaków niż na odwrót. Poza tym dużo ludzi w nomenklaturze czeskiej jest Słowakami, a więc istnieje dopływ komunistów słowackich.

K.: Ale to nie pociąga zmian w polityce narodowościowej.

A.T.: Nie ma polityki narodowościowej; jest federalizacja i na tym koniec.

K.: Idzie mi o to, że komuniści słowaccy, którzy opanowują stanowiska w Czechach, wynaradawiają się.

A.T.: Oczywiście, gdyż są komunistami. Bardzo szybko zaczynają mówić po czesku, ich dzieci chodzą do czeskich szkół. Oni nie interesują się takimi sprawami. Komuniści jest zawsze internacjonalistą w pewnym sensie, mimo że udaje, iż jest słowackim nacjionalistą.

K.: A jaki jest stosunek Czechów do konfliktu słowacko-węgierskiego?

A.T.: Czesi nie interesują się tą sprawą. Życie polityczne w Czechach jest bardzo słabe. Polityka wyraża się przede wszystkim poprzez Kartę 77 w opozycji i poprzez literaturę. Nawet rozważań na temat stosunków czesko-słowackich jest w literaturze niezależnej bardzo mało. Dla Czechów stanowi to nieistotny problem, gdyż jakoś nie dostrzegają Słowaków; poza tym na Słowacji opozycja jest bardzo słaba. Zupełnie inaczej wyglądałaby sytuacja, jeżeli istniałaby tam zorganizowana opozycja wobec totalitaryzmu, która mogłaby być partnerem i prowadziłaby dialog z opozycją czeską. Jeśli tej opozycji nie ma, to strona czeska nie musi zajmować stanowiska. Jest tam jakieś 7-8 dysydentów słowackich, niektórzy jak Szimeczka pochodzenia czeskiego. Ist-

nieje oczywiście bardzo duże podziemie katolickie na Słowacji, współpracujące z czeskimi katolikami, ale jest ono apolityczne jeszcze bardziej od czeskiego, tj. walczy przede wszystkim o tożsamość i niezależność Kościoła katolickiego, charakter polityczny posiada zatem tylko w sensie drugorzędny, jako konsekwencję tego co robi. Być może tworzy ono podstawy dla przyszłej myśli separatystycznej, ale teraz nie bardzo interesuje się problemami politycznymi.

Podziemie katolickie na Słowacji pozostaje jednak w bardzo ostrej opozycji wobec reżymu i w pewnym sensie neutralizuje politykę Husaka, który mówi: Patrzcie Słowacy jak Wam teraz dobrze! To nie Słowacy górują, tylko komuniści ze Słowacji - mówi opozycja katolicka na Słowacji, ale nie ma ona ścisłego wymiaru politycznego, takiego jak opozycja pisarzy lub nawet tzw. muzyczny underground w Czechach.

K.: Czy Czesi tak samo nie wiedzą, że istnieje na Słowacji mniejszość ukraińska?

A.T.: To są problemy w ogóle nie rozważane w literaturze niezależnej. Oczywiście problem narodowy na Słowacji jest trochę rozpatrywany, gdyż Karta 77 wystąpiła w obronie M. Duraya, narodowego działacza węgierskiego.

K.: Były listy trzech Słowaków i jednego Czecha ze Słowacji, którzy protestowali przeciwko rewresjonowaniu Duraya, podkreślając jednocześnie, że nie podzielają jego poglądów.

A.T.: Oczywiście, że nie dzielą, gdyż problem mniejszości węgierskiej nie istnieje, ponieważ nie jest dostrzegany. Każda mniejszość naturalnie ma kłopoty.

K.: Ale dostrzega się, przynajmniej na Słowacji, kwestię mniejszości słowackiej na Węgrzech.

A.T.: Słowacy dostrzegają w pewnej mierze zagadnienie mniejszości, ale jest ona bardzo mała, podczas, gdy na Słowacji mieszka znaczna liczba Węgrów.

K.: Słowacy twierdzą, że mniejszość słowacka na Węgrzech liczy ok. 300 tys.

A.T.: Twierdzą, twierdzą, ale myślę, że tak nie jest. Tak samo jak dzisiaj nie ma już 2 milionów Polaków w Rosji.

K.: A jaka jest sytuacja Polaków na Zaolziu, jakimi prawami dysponują i jakie są stosunki między tą Polonią a Czechami?

A.T.: Polonia na Zaolziu jest dość duża, tzn. w ciągu 60 lat od powstania niepodległego państwa czechosłowackiego nie zmalała i liczy chyba tyle samo, co przed wojną. Ma ona własne szkoły podstawowe oraz gimnazjum i trzyma się bardzo dobrze, gdyż wśród Czechów istnieje indyferentyzm narodowy, a Polacy nie są obojętni wobec własnej narodowości. Nie znam żadnych danych statystycznych, ale widziałem, że większość mieszanych małżeństw wysyła dzieci do szkół polskich. W pewnym sensie są one nawet lepsze od szkół czeskich, dlatego że kontrola treści nauczania ze strony czeskiej jest minimalna, ponieważ Czesi się na tym nie znają. W szkole można się dowiedzieć o Piłsudskim, Andersie, Ak, itd., może więcej nawet niż w Polsce. W klasach na pewno wiszą krzyże. To są takie szkoły emigracyjne, rzecz jasna nie wszystkie.

Na ogół Polacy urodzeni na Zaolziu kiepsko znają czeski i to chyba samo mówi za siebie, jest dowodem, że na tym terenie w ogóle nie dochodzi do wynarodowienia Polaków. Ponadto Polacy mają więcej dzieci niż to jest w zwyczaju u Czechów.

Część tej Polonii jest wyznania protestanckiego, choć większość stanowią katolicy.

K.: Dla Czechów ta mniejszość nie istnieje?

A.T.: Nie istnieje, nie stwarza większych problemów, nie interesuje ich. Czeski indyferentyzm narodowy można by nazwać tolerancją; stwarza ona warunki bardzo demokratyczne, lepsze niż np. w Polsce międzywojennej, pomimo wielkiego konfliktu między Czechami i Słowakami. Ci ostatni oczywiście nie zgodziliby się ze mną i powiedzieliby, że to było straszne, ale myślę, iż w porównaniu z Polską było lepiej. Indyferentyzm działał i działa nadal w kierunku ogólnej tolerancji.

K.: Poprzez stosunek do historii najlepiej widać aktualną linię polityczną danego ugrupowania, dlatego wrócimy do historii. Jak obecnie Czesi odnoszą się do zagadnienia niedoszłej konfederacji z Polską?

A.T.: Niestety na ten temat jest bardzo mało prac. Wprawdzie czytałem kilka pozycji historycznych, ale trudno sobie stworzyć obraz, jak naprawdę niezależna literatura w Czechosłowacji patrzy na to zagadnienie. Istnieje parę artykułów, ale problemu jakby nie było. Po prostu stosunki czesko-polskie nie są szczególnie interesujące dla historyków czeskich w tej chwili. Problemy czeskie są zupełnie inne; przede wszystkim dotyczą one niezależnej historiografii I Republiki, stosunków czesko-słowackich, wygnania Niemców po wojnie, historii Austro-Węgier w XIX wieku oraz zagadnienia czeskiego nacjonalizmu. Stosunki polsko-czeskie są zaś tak ubocznym tematem, że trzeba by się bardzo starać, aby coś w tych pracach znaleźć. Kwestia stosunków polsko-czeskich jest ważna w publicystyce politycznej, ale dotyczy ona raczej dnia dzisiejszego.

K.: Jeżeli nawet problem ten poruszany jest marginalnie, jakie podaje się przyczyny załamania owych koncepcji? U nas uważa się bowiem, że Benesz wycofał się z układu z Sikorskim pod naciskiem Stalina, gdyż chciał z nim dojść do porozumienia.

A.T.: Niewątpliwie, podzielam ten pogląd, ale może jestem nietypowym Czechem. Naciski nie musiały być na początku silne, ale po prostu nie było szans realizacji planów konfederacyjnych, jeżeli polityka Benesza była ściśle zorientowana na Moskwę, tzn. wychodziła z założenia, że ZSRR będzie odgrywał pierwszorzędą rolę w Czechosłowacji, czyli trzeba się z nim porozumieć, a Polacy - wiadomo - oni się na to nigdy nie zgodzą, mają swoje imponderabilia.

Na początku nie musiało być bezpośrednich nacisków Stalina; do tego doszło dopiero później, po 1943 roku. Benesz uważał, że Polacy są po prostu wariatami i nigdy nie pójdą na kompromis z Sowietami, wiadomo przecież jaką mają historię.

K.: Skoro myślał o Polakach przedwojennych, uważał skuszenie. Ale czy teraz Czesi zastanawiają się nad problemem przyszłych stosunków w Europie Środkowo-Wschodniej?

A.T.: Słabo, słabo. Trzeba zrozumieć, że najważniejszy problem dla Czechów stanowi przetrwanie narodowego ducha, narodowej kultury, która jest niszczona w tak dużym stopniu, iż nie można tego stanu porównywać z Polską, ani nawet z Węgrami. Owo poczucie zagrożenia powoduje, że czeska literatura zdobywa coraz większe sukcesy na Zachodzie, wydaje się tu coraz więcej tłumaczeń. Czechem chodzi przede wszystkim o to, by istniała niezależna kultura, wszystko jedno jaka. Nie idzie o narzucanie jakichś ideologicznych przesłanek, gdyż literatura jest w końcu autonomiczna, lecz o to, by można było rozpatrywać czeską historię i sytuację tego kraju i to bardziej w sensie socjologicznym niż politycznym: co ludzie myślą, jakie są ich problemy, stan ogólnej demoralizacji. Chodzi o stwarzanie dzieł literackich, które będą miały rezonans. Większość samizdatu pisana jest na maszynie, tzn. że rozszerza się on o ile zaakcentowany zostaje przez odbiorców.

Polityka odgrywa bardzo małą rolę, gdyż szanse rozwiązania politycznego wydają się znikome. Czesi nie znajdują się w momencie narodowego zrywu jak Polacy kilka lat temu. Myślenie polityczne ma charakter teoretyczny; jest bardzo dużo rozpraw na temat pokoju, złudzeń zachodnich, socjalizmu, coraz więcej rozważań czynionych z punktu widzenia prawicowego czy liberalnego. Zrobić nie można nic, a jedyne w czym tkwi sens - to utrzymanie myśli niezależnej.

Jak wiadomo, Solidarność też przegrała, co spełniło bardzo negatywną rolę w Czechosłowacji. Przegrali, nie nie zdobyli. Czesi nawet w opozycji, wiedzą bardzo mało o tym, że w Polsce jest bardzo dużo pism podziemnych i jakoś rozwija się myśl polityczna. A jeżeli wiedzą, to wydaje im się to też absurdalne: owe rozważania o Solidarności, dialogu, porozumieniu itp., itd. Przecież wiadomo, że nic z tego nie będzie. /.../

dalekożenie w numerze następnym

FELIETON OBSERWATORA: LEGITYMACJA WŁADZ

Rok 1986 jest złym rokiem dla dyktatorów. Już w pierwszych miesiącach upadło dwóch. Najpierw na Haiti młody Duvalier, a następnie na Filipinach stary Marcos. Zwłaszcza ten drugi upadek jest ciekawy dla wyjaśnienia kwestii legitymizmu władzy.

Która władza jest legalna? Nie chodzi o definicję prawną. Sądzę, że władza może być niepopularna, uciskająca społeczeństwo, nie mająca ciągłości prawnej, nie wybrana nigdy przez naród, a jednak w pewnym sensie posiadać legitymację. Legalizm, legitymacja władz, jest kategoria nie tylko prawną i polityczną, ale ma także swe korzenie w sferze psychologii społecznej. Może być więc wyjaśniana pojęciami z dziedziny psychologii.

Władza legalna, to taka, której obalenie, czy zastąpienie inną jest "nie-do-pomyślenia". Dopóki taka jest, jest uznawana za prawną. Utrata legitymacji przez władzę, to spowodowanie, że jej obalenie staje się "do-pomyślenia". Stan taki nie oznacza automatycznego upadku władzy, lecz tylko jej zagrożenie. Upadek władzy następuje wtedy gdy jej dalsze trwanie staje się "nie-do-pomyślenia".

Rządy Marcosa nie cieszyły się popularnością, czego dowodem jest to, iż nie zdecydował się on nigdy na uczciwe wybory. Jednak społeczeństwo, poza partyzantami, którzy nigdy nie byli w stanie zagrozić rządowi w Manili, uznawało władzę za legalną. To znaczy - płaciło podatki, przestrzegało narzuconych praw, zwracało się do urzęd-

ników reprezentujących władzę, służyło w wojsku, służyło policji, itd.

Obalenie władzy dyktatora stało się "do-pomyślenia", gdy sfałszował on wybory i gdy fałszerstwo było łatwe do udowodnienia. Władza utraciła legitymację. Nie oznacza to, rzecz jasna, że każda władza fałszująca wybory traci tak rozumianą legitymację. Na Filipinach sytuacja była jednak specyficzna. W tym miejscu nie jest ważne, na czym polegała ta specyfika. Będzie to zapewne wyjaśnione przez licznych politologów, komentatorów, historyków. Interesujące jest co innego - skutki utraty legitymacji. Skutkiem był bowiem stopniowy rozkład władzy. Część wojska, na czele z generałami, biorącymi udział w wyborczych fałszerstwach, uznała, iż Marcos stracił legitymację. Zmiana władzy stała się "do-pomyślenia", zwłaszcza, że istniał poważny kontrkandydat. Ci sami urzędnicy i generałowie, którzy stanowili podporę władzy dyktatora doprowadzili do jego upadku. Oto w skrócie mechanizm przewrotu na Filipinach.

Co z powyższego wynika dla Polski, czy sąsiednich krajów rządzonych przez komunizm? Władza jest skrajnie niepopularna, nie ma ciągłości konstytucyjnej, narzuciła ją obce mocarstwo, ale według przedstawionego przeze mnie rozumowania jest legalna, gdyż potrafi zapewnić sobie posłuch społeczeństwa. Władza ta ma bardzo nieliczną grupę zwolenników, lecz kolaboruje z nią bez mała całe społeczeństwo. Kolaboracja ta - praca w państwowych przedsiębiorstwach i instytucjach, uznawanie norm /nie tylko prawnych/ narzuconych przez komunistyczny rząd, itd. - to właśnie objaw legitymacji władzy. Obalenie jej jest bowiem "nie-do-pomyślenia". Władza ta legitymację może utracić nie wtedy, gdy się w publikacjach udowodni jej bezprawność, nie wtedy gdy pogłębi katastrofę gospodarczą, lecz wtedy, gdy zostanie zakwestionowana przez większość społeczeństwa i to zakwestionowana czynnie. Momentem takim był okres 16 miesięcy "S". Obalenie, a co najmniej zdecydowana korekta władzy stała się "do-pomyślenia". Zaczął się szybki proces rozkładu władz. Partię opuściło 1/3 jej członków, wielu polityków, dziennikarzy, ludzi odgrywających rolę publiczną, do Sierpnia 80 roku wspierających komunizm - odwróciło się od władzy PZPR. Słyszysz się często głosy, kwestionujące szczerą intencję tych, którzy bez mrugnięcia popierali wszystkie ekiny komunistyczne od bierutowskiej do gierkowskiej, a w latach 80-82 stanęli w opozycji do władz. Mnie wybory takie nie oburzają, ani nawet nie dziwią. Wytłumaczenie tego widzę w zakwestionowaniu legitymacji władz w okresie "S", a także w pierwszych miesiącach po wprowadzeniu stanu wojennego. Po kilku latach od upadku "S" stan poprzedni został przywrócony. Znowu obalenie komunizmu stało się "nie-do-pomyślenia". Władza odzyskała kontrolę nad biegiem wypadków. Nie pomogą żadne dowody prawne, polityczne, moralne na jej nielegalność. Jest legalna w tym sensie, że społeczeństwo respektuje narzucone przez nią reguły gry. Respektuje, ponieważ jej obalenie jest "nie-do-pomyślenia".

Powyższy mechanizm legalizujący władzę komunistyczną działa na jej korzyść. Sądzę, że działał będzie tylko do czasu. Brak sukcesów na innych polach - przede wszystkim na polu gospodarczym - skazuje tę władzę na opieranie swych rządów na bez nadziei, apatii, strachu. Wystarczy jednak tylko moment, aby taka apatia zmieniła się w bunt przeciw władzy, gotującej swym narodom beznadziejny los. Odległość od "nie-do-pomyślenia" do "do-pomyślenia" jest niewielka.

OBSERWATOR

.....

NIEZNANI /?/ SPRAWCY

Co jakiś czas docierają do nas informacje o przypadkach, sporadycznych na szczęście, podszywania się "nieznanych sprawców" pod istniejące i mające już swoją tradycje firmy. Oczywiście, nie mamy na myśli iniojatyw równoległych, takich choćby jak wydawanie przez nas i przez krakowską KPN od początku "wojny jaruzelskiej" pism zatytułowanych "NIEPODLEGŁOŚĆ". Chodzi nam natomiast o przypadki takie jak ten opisany w 5.119 nr. krakowskiego "HUTNIKA" /z 5 marca br./; to znaczy o wydanie przez "nieznanych sprawców" pięciu znaczków pod firmą funkcjonującą od początku stanu wojennego "POCZTY KRAKÓW".

Ostatnio i my staliśmy się ofiarą podobnych praktyk. Oto bowiem, w warszawskim kolportażu pokazał się, wykonany metodą fotograficzną, kalendarz na rok 1986 "ozdobiony" winieta naszego miesięcznika. Producentów, kolporterów i nabywców tego "walora" /kosztuje 25 zł/ informujemy, że nigdy i nikomu nie udzielaliśmy zgody na komercyjne wykorzystywanie naszej winiety. Tego rodzaju praktyki uważamy w najlepszym razie za ciężkie naruszenie zasady faire play w działalności podziemnej, w najgorszym zaś za zwykłe podziemne piractwo.

GRUPA PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ"

K O M U N I K A T Y :

I. Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez "GRUPĘ PISMA NIEPODLEGŁOŚĆ". Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk pojedynczych artykułów dozwolony z podaniem źródła, o ile po uprzednim porozumieniu z GP"N". Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje "INDEPENDENT POLISH AGENCY". (Copyright outside Poland by IPA, Vestmårnsgatan 1, Box 2113, 220 02 Lund, SWEDEN). Tam też można zamawiać nasze pismo.

II. Zawiadamiamy, że stale z nami współpracują na terenie:
- Francji (a także RFN i Beneluxu) - Leszek TRUCHLEBSKI, 2 rue Davy, Paris 75017
- Szwecji (i całej Skandynawii) - Janusz CUPRYJAK, vag 4311, 3-35255, VAXJO.

III. Apelujemy o przekazywanie - poprzez kolportaż - wpłat i darów rzeczowych (farby, a zwłaszcza papier, ...) na FUNDUSZ ŻYDŹNICZY "NIEPODLEGŁOŚCI"
DZIEKUJEMY Madziarowi za Rele. STRYJOTI dziękujemy za kijek.
Potwierdzamy: Lutek - 2000, kolportaż - 750.

ORGANIZACJA "NIEPODLEGŁOŚĆ"

L A U R K A D L A K I S I E L A

Powiedzieć, że Stefan Kisielewski jest postacią wyjątkową, to powiedzieć banał. Trudniejszą sprawą jest sprecyzowanie na czym polega jego wyjątkowość. Określiłbym to następująco:

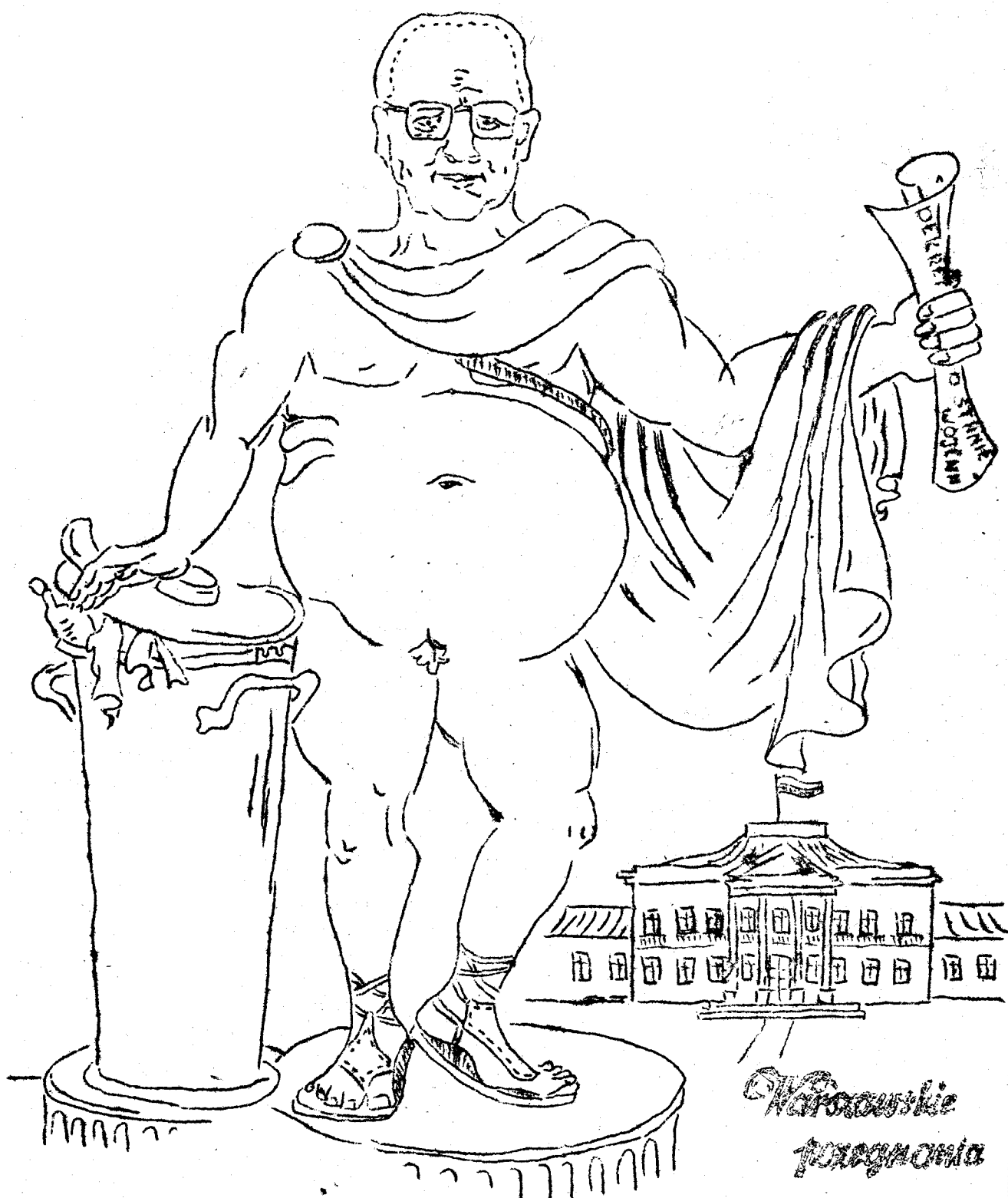
Po czterdziestu latach działalności jako publicysta polityczny w PRL Stefan Kisielewski praktycznie nie ma wrogów. Stwierdzenie takie wygląda raczej na wątpliwy komplement, a jednak w przypadku Kisielewskiego jest wyrazem wielkiego uznania.

W swej publicystyce i działalności politycznej nigdy nie unikał On posunięć kontrowersyjnych. Narażał się przy tym wszystkim: komunistycznym władzom, które nazwał dyktaturą ciemniaków, za co spotkało Go potępienie ze strony Gomułki oraz pobicie przez "nieznanych sprawców"; antykomunistom, gdy przez osiem lat zasiadał w peerelowskim sejmie - głosząc tam zresztą poglądy antykomunistyczne; Kościołowi, przez wiele swoich felietonów - drukowanych w katolickim "TYGODNIKU POWSZECHNYM" - i powieści, zawierających treści zbyt mało "katolickie", przez powatpiwanie w społeczną naukę Kościoła, przez namawianie - w roku 1982 - do "odrobiny męczeństwa"; socjalistom, swymi poglądami ekonomicznymi; zwolennikom nowoczesnego, demokratycznego kapitalizmu irytującym cytowaniem Marksa i kwestionowaniem potrzeby rozwoju wielkiego przemysłu w Polsce; intelektualistom, wyśmiewaniem się z ich ulubionych zwrotów a robotnikom przez stwierdzenie, że są oni klasą sztucznie stworzoną przez komunistów po to, aby wypełniły się słowa PISMA - oczywiście nie świętego; kombatantom, przez kwestionowanie sensu zrywu powstańczego w 1944 roku; niepodległościowcom, namawianiem do dogadania się z Rosją; pracownikom Centrali Rybnej w końcu, swym cyklicznym obśmiewaniem się z nich.

Naraził się wszystkim, a jednak nie ma wrogów? Wynika to z olbrzymiego autorytetu, jaki posiada - czy Mu się podoba, czy nie. Na Kisielewskiego powołują się wszyscy - łącznie z komunistami, a polemiki z jego tekstami należą dziś do rzadkości. Trud taki, daremny zresztą, podjęło nasze pismo, po opublikowaniu "Wstępu do programu opozycji politycznej", a wtórowały nam właściwie jedynie głosy prasy reżymowej. Po stronie opozycji, do której tekst w końcu się odnosił, polemik innych chyba nie było i nie wynikało to z braku zainteresowania, ani z tego, że wszyscy się z Kisielewskim zgadzali, lecz z autorytetu jaki posiada.

W swojej działalności Kisielewski brał zawsze stronę prześmiewców, chciał odgrywać rolę "opozycji JKM" w "realnym socjaliźmie", zakładał czapkę Stańczyka, a skończył jako mędrzec i wyrocznia.

Z okazji 75 rocznicy urodzin Redakcja "NIEPODLEGŁOŚCI" składa Kisielowskiemu wyrazy ogromnego szacunku i życzy, abyśmy mimo wszystko wspólnie doczekali Polski niepodległej i niesocjalistycznej, niezależnie od tego, czy zgodzi się na to Moskwa, czy nie.



*Warszawskie
Pragnienia*

APOLLO BELWEDERSKI